Egz. obowiązkowy
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN
czas. 2552/1977/21

Niepokorny realista

Maciej Podgórski str. 8–9

W PARYŻU ROKU 1939 str. 8–9

zapole

KORESPONDENCYJNY KLUB MŁODYCH PISARZY ZW ZSMP

str. 6

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

LUBLIN 16 X 1977 Nr 21 (637) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

Ango Bojanow

WSPOMNIENIE

I ślepy,
i kulawy —
z drewnianą nogą
na małej uliczce w Krakowie
za grosze życie swe wygrywa
zgarbiony skrzypek.

O, skrzypku stary,
wygraj mi
oczy dobrych krakowianek,
ciała ich, i taniec włosów,
które z wiatrem pobiegły wzdłuż Wisły.
A czy nie możesz ty mi wygrać
przerywanej wciąż pieśni trębacza
z kanciastej Mariackiej wieży?
Nie możesz.
Miałeś inne dni.

Lecz wojna to nie pieśń,
abyś ją wtopił w cienkie struny.

I skrzypią dźwięki pod twym smyczkiem —
niby holzschuhe jenieckie tak skrzypią.
I widzisz jak w czterdziestym pierwszym
śnieg płonie na czerwono.
I kuleją dźwięki pod twym smyczkiem —
niby twa noga drewniana —
kuleją.

I ta maleńka uliczka Krakowa
roni nieludzkie wspomnienie.

Tłumaczył z bułgarskiego
Tadeusz Ross

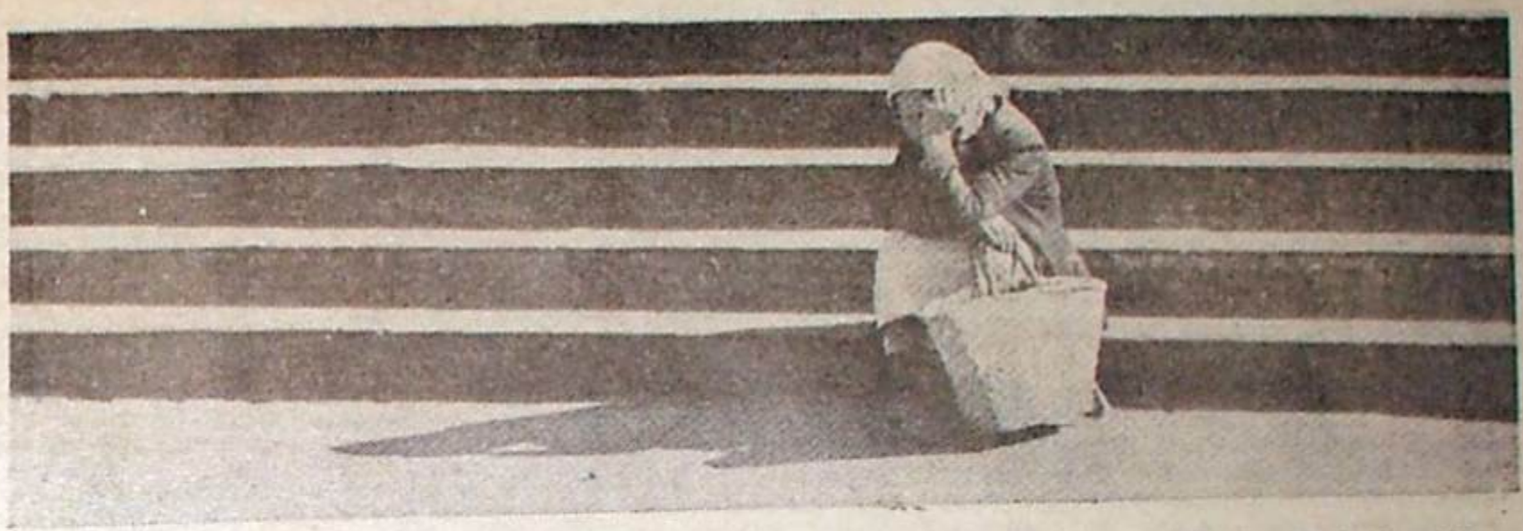

Fot. J. Mendychowski

Ani tobie się ktoś ukłoni...

Tadeusz Jasiński

ZATRZYMUJĄCY mnie w Alei Lenina człowiek jest roztrzęsiony, zdenerwowany. Bąka nawet, że gdyby było chociaż na czym, to powiesiłby się w niedzielny poranek na klatce schodowej wieżowca, w którym mieszka zamężna córka. Ma w Lublinie dwie zamężne cory, zakupił im w posagu spółdzielcze mieszkania, tej, od której wybiegł przed chwilą, nawet samochód. I właśnie do tego samochodu wsiadł teraz zięć, zabrał córkę i pojechali na wycieczkę w Roztocze. Tymczasem rolnik spod Lubartowa pragnął, aby oboje przyjechali w środku żniw pomóc zbierać plon z ziemi, która wydała i chleb, i te mieszkania, i samochód, no i miała po omłotach dać wóz tej drugiej, która uważa się za pokrzywdzoną. Rolnik prosił mnie o pożyczenie dwudziestu złotych na powrót do domu. Wraca, bo okazało się, że obie córki i ich mężowie „po całotygodniowej ciężkiej pracy w biurze muszą nareszcie odpocząć". Złe dzieci — powiada rozżalony człowiek — i jak to będzie, gdy ja kiedyś z żoną się do nich sprowadzę, bo ziemi nie ma kto dziedziczyć?!

Wstąpiłem ostatnio do tego gospodarza. Wraz z żoną zaharowani, ale zabudowania w dobrym stanie, na polach porządek, hodowla rozwinięta. Okazuje się, że dzieci już są kochane, bo w ostatnią sobotę i niedzielę były, pomogły, już więcej na nie złego słowa nie powie, bo to zawsze dzieci. A o starości myśleć trzeba, nie zrażać, tylko przymilać się, zasługiwać, póki ręce potrafią uprawiać ziemię. Nowa polityka rolna państwa, a przede wszystkim przygotowywanie ustawy o emeryturach i rentach dla rolników, jak się wydaje sprawi, że teraz będzie więcej chętnych wśród młodych, którzy zechcą zostać spadkobiercami i gospodarować na roli, tym bardziej że obok nich bytować będą rodzice, którzy dosłużyli się własnej renty, a więc stosunkowo dużej niezależności materialnej. Na razie jednak, szu-

Dokończenie na str. 7

Fot. St. Butrym

POLITECHNIKA LUBELSKA

Tadeusz Graba

KONCENTROWALIŚMY swoje wysiłki na doprowadzeniu uczelni do poziomu silnego ośrodka akademickiego. Bez fałszywej skromności mogę stwierdzić, że cel ten w znacznym stopniu został osiągnięty, co oczywiście nie znaczy, że wszystkie problemy z tym związane zostały już rozwikłane. Nie ulega wątpliwości, że Politechnika Lubelska to uczelnia z przyszłością, w którą wchodzimy na solidnej podstawie własnego dorobku naukowego i dydaktycznego, który w poważnej mierze jest swoistą odpowiedzią na potrzeby gospodarki całego regionu, w tym także tej najmłodszej dziedziny, jaką jest przemysł węglowy, już teraz wyraźnie profilujący nasze programy, choć przecież nie wyczerpujący obszaru działalności naukowo-badawczej i dydaktycznej Politechniki Lubelskiej — mówi prof. dr hab. Włodzimierz Sitko, rektor uczelni.

Dokończenie na str. 12

z notatnika

21 IX. Urlopuję. Tak się złożyło, że w tym roku nigdzie nie mogłem wcześniej wyjechać. Właściwie nie ma czego żałować — lato skąpiło nam słońca. Kto mógł, rwał w lipcu czy sierpniu na południe i wygrzewał się do woli. Ale we wrześniu, jak się dowiedziałem, w takiej na przykład Bułgarii zimno wypłoszyło turystów. Ci najbardziej wytrwali sączyli wino czy pliskę zamiast opalać się na plaży. Pliskę można równie dobrze popijać w Polsce. Pardon, nie pliskę, ale słoneczny brzeg. O ile, oczywiście, można go znaleźć w Delikatesach. Pod tym względem w Lublinie jest gorzej niż źle. Nie wspominałbym o tym, bo słoneczny brzeg nie jest artykułem pierwszej potrzeby, gdybym po drodze do Węgorzewa nie zatrzymał się w małej mieścinie, bodaj Czyżewie koło Zambrowa, i nie wstąpił do tamtejszego sklepu GS. Zestaw znajdujących się tu butelek, ułożonych jak na wystawie konkursowej, oszołomiłby każdego. Co dziwniejsze, że z krajowych spirytualii przeważały te w mniejszych opakowaniach, pośrednich między ćwiartką a półlitrówką. Wytwórnie alkoholi (tudzież handel) musiały dojść do wniosku, że trzeba ludzi nauczyć kulturalnego picia. Ćwiartka na dwóch — to za mało, pół litra — za dużo. Wybrano złoty środek. Chyba nie najgorszy, choć słyszałem, jak rozmawiali dwaj chłopi: „Ty byś kupił pół litra, ja bym też musiał kupić połówkę, bo co ja gorszy od ciebie? A teraz ty kupisz tę mniejszą butelczynę, ja również mniejszą i wszystko gra, chociaż w sumie mniej wydamy...". Hmm...

Podróże kształcą. W Giżycku nie byłem dwadzieścia kilka lat. Pamiętam to miasto, a właściwie jego ruiny. Ileż tutaj zmian! Podobnie jest w Węgorzewie, chociaż tamtejszy „Kaprys" karmi bez polotu. Sztampowe dania, żadnych pomysłów gastronomicznych. W lecie trudno tu o wolne miejsce, po co personel kuchni ma się wysilać. Ale we wrześniu już tu raczej pustawo, ale nadal i drogo i niesmacznie.

Mecz piłkarski Polska — Dania oglądam u rodziny w Dąbrówce koło Węgorzewa. Słucham komentatora i jednocześnie opowiadań kuzyna, który ma pasiekę i którego w tym roku lato tak oszwabiło. Gdyby nie tona cukru, to wcale nie byłoby miodu. Tak, miód tu ważniejszy niż gole strzelane przez piłkarzy... Kuzyn chce się na przyszłość zabezpieczyć. Zbudował własnoręcznie wóz, niczym Drzymały, i w przyszłym roku wywiezie pszczoły w bardziej miododajne okolice. Powodzenia!

23 IX. Nareszcie trochę słońca. Pędzę przez Kętrzyn do Olsztyna, gdzie mam spotkanie w miejscowym Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki. Jest kilkadziesiąt osób, żywo reagujących słuchaczy. Mówię o RFN, prezentuję przeźrocza z tego kraju. Po spotkaniu indywidualne rozmowy, dodatkowe pytania. Słyszę o ludziach, którzy z tego terenu wyjechali do krewnych w RFN i przeżyli tam wiele rozczarowań. Są tacy, którzy pragną wrócić. Był wypadek, że ktoś przyjechał ładnym samochodem, chcąc zaimponować znajomym. Kiedy wódka uderzyła mu do głowy, przyznał, że ten samochód spłacił dopiero w nikłym procencie, że nie wie, jak będzie dalej, bo już trzykrotnie zmieniał pracę i wszędzie otacza go atmosfera niechęci. „Ja bym tu wrócił nawet na kolanach" — zapamiętano jego słowa. Oczywiście byli tu i tacy, którym się poszczęściło, ale to wiązało się z dobrym przyjęciem przez zamożną rodzinę. Owe „dobre przyjęcia" należą jednak do rzadkości. „Niemcy z RFN to przeważnie egoiści...". To nie mój głos, ale ich krewnych przybyłych z Polski...

24 IX. Polska rozwija się motoryzacyjnie. Wszyscy to wiemy, ale łączy się z tym wiele problemów. Wszędzie przebudowuje się drogi. Co krok można spotkać ostrzegawcze tablice ograniczające szybkość posuwania się pojazdów. W tej sytuacji zawodzą wszelkie teoretyczne obliczenia czasu podróży według mapy. Teraz to jeszcze pół biedy, ale wyobrażam sobie, co się na przykład dzieje tutaj w lecie, gdy na Mazury ściągają turyści nie tylko z Polski. Całe szczęście, że furmanek tu mniej niż w głębi kraju.

Motoryzacja to, oczywiście, drogi, stacje benzynowe, warsztaty naprawcze. Ze stacjami benzynowymi jest już znacznie lepiej niż dawniej. Co zaś do warsztatów... Wiadomo. Ale motoryzacja to równocześnie gastronomia, różnego rodzaju zajazdy, bary szybkiej obsługi. Tu Olsztyńskie ma jeszcze wiele do zrobienia. Bardzo wiele.

Z jakich wzorów korzystać? Słyszę, że dobre wzory ma Poznańskie. Sprawdzę przy okazji. Wystrój to jednak nie wszystko. Liczy się kuchnia.

Kuchnia to Słupsk. Inż. Tadeusz Szołdra znany jest w całym kraju. Pamiętamy go z telewizyjnego „Sam na sam". Rozmawiałem z nim przed czterema laty, mówił o swoich planach. Jestem ciekaw, jak jest teraz, co z nich zrealizował.

31 IX. Spotykamy się po kilku dniach. Inż. Szołdra jest dziś dyrektorem Zakładu Kompleksowych Wdrożeń. Straszna nazwa. Dyrektor stwierdza, że gotów jest urządzić konkurs ogólnopolski z nagrodami, bo te „kompleksowe wdrożenia" i jemu nie przypadają do gustu. Karczma Słupska zdobyła już sobie markę. Po Słupsku ma ją Opole, Lublin, Płock i Warszawa. Wnętrza przygotowywano w Słupsku, stworzono tu odpowiednie warsztaty. Dyrektor chce jednak, by Karczma Słupska wszędzie znaczyła to samo. Bo bywa tak: otworzy się restaurację, wszystko początkowo gra, a później zaczyna tego i owego brakować, chociażby kwasu chlebowego, następują samowolne zmiany cen poszczególnych potraw, znikają słynne polewki. Ot, przychodzi znów szara codzienność. Jakie wyjście? Dyrektor chce dostać uprawnienia kontrolne. Żelazny glejt. Występuje w tej sprawie do Centrali „Społem", której jego Zakład Kompleksowych Wdrożeń bezpośrednio podlega. Jeśli jakakolwiek Karczma Słupska przestanie spełniać odpowiednie warunki, wówczas zabierze się jej nazwę i dodatkowo zainkasuje odpowiednie odszkodowanie, karę umowną czy coś w tym rodzaju. Pomysł nie jest chyba zły.

Kiedyś dyrektor Szołdra rządził całą słupską gastronomią, dziś pozostały mu tylko Karczma Słupska i Karczma pod Kluką, resztą włada słupskie „Społem" z energiczną p. Marią Wolską. Przedsiębiorstwo Turystyczne „Przymorze" i kilka innych instytucji. Decentralizacja, na której temat można dyskutować. Ale np. dawna szołdrowska „Piracka" w sprawnych rękach kierownika i szefa kuchni w jednej osobie, p. Ryszarda Pałki, nadal karmi znakomicie. Kotlet hultajski, bitki kapitańskie, zrazy pirackie, pikantna zupa rybna czy placek ziemniaczany po węgiersku mogą zadowolić każde podniebienie. Jakiż to kontrast z węgorzewskim „Kaprysem"! Czy Słupsk ma być oazą, rajem dla smakoszy? I jak to jest, u licha, że tu można, a gdzie indziej nie? Czy troska o jakość, zwykłą jakość p o t r a w, innych nie dotyczy? „Piracka" podaje jeszcze dodatkowo przy każdej potrawie ilość kalorii. Grubas wie, że zrazy pirackie to 969 kalorii i jeść ich raczej nie należy, że placek ziemniaczany po węgiersku to, strach, 1220 kalorii, natomiast gulasz segetyński to zaledwie 468.

Oczywiście mnie interesuje najbardziej własne podwórko. Dlatego na tym miejscu proszę publicznie szefa lubelskiego „Społem", by jak najszybciej wyekspediował do Słupska ekipę lubelskiej gastronomii. Ekipę w odpowiednim składzie, oczywiście. Aby korzyść miał konsument, do którego i ja od czasu do czasu się zaliczam.

Zapomniałbym! Inż. Szołdra eksportuje też Karczmy Słupskie pod nazwą Karczma Polska do innych krajów. Budapeszt, Praga, Leningrad zapoczątkowały tę naszą interesującą ofertę eksportową.

3 X. Kamień Pomorski. Kolejne zdziwienie. Widziałem to miasto przed 15 laty. Ile tu zmian, ile tu się zbudowało, choć ciągle z mieszkaniami krucho. Goleniów — to samo. I znów kłopoty (wzrostu) na drodze. Powstaje drugie pasmo. Szczecinianie łatwiej dojadą nad morze. Szwedzi szybciej trafią do Szczecina.

5 X. Szczecin. Miasto, z którym tak bardzo związałem się w latach 1957—1964. Wielu starych przyjaciół i wielu dobrych znajomych. Ten sam klimat serdeczności, powiedziałbym nawet zbyt wylewnej. Ale i tu przychodzi nowa zmiana, choć stara gwardia jeszcze się trzyma. Szczerze wzruszony jest Bogdan Chocianowicz, wiceszef szczecińskiej TV, z którym kiedyś pracowaliśmy w „Głosie Szczecińskim", kiedy mówi mi, że jego syn, Wojtek, w tym samym „Głosie" rozpoczął dziennikarską karierę, że już zadebiutował w „Panoramie Północy". A ja ciągle widzę tego Wojtka jako sympatycznego chłopaczka w krótkich spodenkach... Jak ten czas leci!

MAJ

Fot. J. Mendychowski

25 LAT WYDZIAŁU HUMANISTYCZNEGO UMCS

Tadeusz Łoposzko

DNIA 30 września 1977 roku Wydział Humanistyczny UMCS zakończył XXV, jubileuszowy rok swej działalności.

W ciągu 25 lat istnienia Wydział przeszedł trudną, pracowitą drogę. Musiał rozpoczynać niemal z niczego, od samych podstaw. Gdy 2 X 1952 roku rozpoczynały się pierwsze zajęcia na sekcji historycznej, dwie nowo utworzone katedry: Historii Powszechnej i Historii Polski liczyły zaledwie kilkunastu pracowników. Na dwóch pierwszych latach studiów (na drugi rok przyjęci zostali studenci skierowani z innych uczelni) podjęło naukę łącznie 65 studentów. Tak skromne były początki.

Dzięki energii, zapałowi i zdolnościom swych założycieli, a także później pozyskanych i wykształconych pracowników. Wydział przeszedł dynamiczną drogę rozwojową, uzyskał znaczne sukcesy, przekształcił się w rozbudowaną, silną placówkę naukowo-dydaktyczną.

Zaznaczyć należy, iż z Wydziału Humanistycznego UMCS wyłonił się odrębny Wydział Pedagogiki i Psychologii. Pracownicy humanistyki utworzyli też zasadniczy trzon kadrowy powołanego do życia przez wszystkie państwowe uczelnie Lublina Międzyuczelnianego Instytutu Filozofii i Socjologii.

Aktualnie Wydział składa się z czterech instytutów. Historii z 7 zakładami, Filologii polskiej z 7 zakładami, Filologii rosyjskiej z 3 zakładami, Filologii angielskiej z 2 zakładami, trzech zakładów wydziałowych na prawach instytutów: Filologii romańskiej Filologii germańskiej i Logopedii oraz — jako samodzielnej jednostki międzyinstytutowej — Laboratorium Nauki Języków.

Wydział zatrudnia 10 profesorów, 20 docentów (z czego 12 habilitowanych), 49 adiunktów, 13 starszych wykładowców i wykładowców, 129 asystentów i 13 lektorów. Łącznie 230 pracowników naukowo-dydaktycznych oraz angażowanych corocznie 12—15 specjalistów zagranicznych, z czego połowę stanowią docenci.

Jest to w przeważającym stopniu kadra naukowa wykształcona i wychowana przez sam Wydział. W ciągu 25-letniej działalności Rada Wydziału nadała stopnie doktora 156 osobom, z czego 120 to pracownicy naszej uczelni. Przeprowadziła 32 habilitacje, a 27 pracowników Wydziału uzyskało stopień doktora habilitowanego. W tymże czasie Rada Państwa nadała tytuły profesorskie 18 docentom Wydziału, zaś 9 osób otrzymało tytuł profesora zwyczajnego.

Wydział stał się ważną placówką kształcenia i wychowania specjalistów o szerokim profilu dla potrzeb kraju i regionu, dla oświaty i kultury narodowej. W ubiegłym roku akademickim na Wydziale studiowało 3360 studentów, czyli tyle, co na średniej wielkości uczelni polskiej w połowie lat 50-tych. W bieżącym roku na 8 kierunkach studiów: historii, archeologii, filologii polskiej, filologii rosyjskiej, filologii angielskiej, filologii romańskiej, filologii germańskiej i nowo utworzonym bibliotekoznawstwie i informatyce naukowej podjęło naukę około 1800 studentów studiów stacjonarnych i blisko 1200 studentów na 4 kierunkach studiów zaocznych: historii, filologii polskiej, filologii rosyjskiej i bibliotekoznawstwie

W ciągu swej działalności dydaktycznej Wydział nadał dyplomy ukończenia studiów 4319 absolwentom różnych kierunków. Ogromny to zastrzyk wysoko kwalifikowanych kadr, który zasilił niemal wszystkie sektory życia kulturalno-oświatowego regionu.

Imponujące są osiągnięcia naukowe humanistyki UMCS. Pracownicy Wydziału opublikowali ogółem ponad 4200 prac naukowych i popularno-naukowych, z czego około 150 pozycji to wydawnictwa książkowe. Blisko 200 artykułów opublikowano w fachowych czasopismach zagranicznych

Wszystkie instytuty i zakłady Wydziału, a także wielu pracowników utrzymuje ożywione kontakty z szeregiem instytucji i towarzystw naukowych za granicą, z ośrodkami uniwersyteckimi, instytutami badawczymi, muzeami oraz bierze udział w wielu międzynarodowych kongresach i sympozjach, przedstawiając tam rezultaty swych badań. Profesorowie Wydziału byli wielokrotnie zapraszani na całoroczne i dłuższe cykle wykładów i seminariów specjalistycznych przez różne zagraniczne ośrodki naukowe, jak Uniwersytet Humboldta w Berlinie, Laurentia University w Kanadzie, Kenyatta University w Nairobi, Uniwersytet Harwardzki i Hampton Institute w USA.

IX Plenum KC PZPR

W WARSZAWIE odbyło się IX Plenum KC PZPR. Referat Biura Politycznego KC „O wyższą efektywność gospodarowania, o lepsze zaspokajanie potrzeb ludzi pracy" wygłosił I Sekretarz KC, Edward Gierek. Plenum podjęło uchwałę w sprawie zwołania w styczniu przyszłego roku II Krajowej Konferencji PZPR. „Na konferencji — jak stwierdził Edward Gierek — przedstawimy partii i narodowi ocenę tego, co zrobiono dotychczas w realizacji uchwał VII Zjazdu oraz wytyczymy zadania na lata 1978—1980. Najważniejszą obecnie sprawą jest pełne wykorzystanie miesięcy, które nas dzielą od konferencji, dla konsekwentnego urzeczywistniania zadań społeczno-gospodarczych, wytyczonych przed blisko rokiem na V i VI Plenum Komitetu Centralnego".

Referat Biura Politycznego stanie się wytyczną działania na najbliższy okres. I my w naszej pracy publicystycznej będziemy zajmować się zawartą w nim tematyką, gdyż poruszone problemy dotyczą przyszłości naszego kraju.

Życie potwierdziło słuszność linii VI i VII Zjazdu PZPR, która łączy rozwiązywanie problemów dnia dzisiejszego z tworzeniem mocnych podstaw rozwojowych dla nadchodzących lat. Dlatego linię tę konsekwentnie kontynuujemy i będziemy kontynuować przezwyciężając nieuniknione napięcia i trudności pojawiające się w procesie dynamicznego rozwoju gospodarki.

Biuro Polityczne zwróciło uwagę na szereg spraw, które wymagają szczególnej troski. Chodzi o realizację programu rozwoju gospodarki żywnościowej, o pełne wykonanie programu budownictwa mieszkaniowego, o przyspieszenie rozwoju produkcji towarów rynkowych i usług, o poprawę efektywności gospodarowania, o podjęcie działań na rzecz umocnienia wartości pieniądza i dalszego doskonalenia polityki cen, o dobry klimat polityczny sprzyjający zaangażowaniu, inicjatywie i wreszcie — o pogłębianie socjalistycznej demokracji i praworządności.

Referat trudno streścić w kilku słowach. Każdy z nas powinien go starannie przestudiować i wyciągnąć odpowiednie wnioski dla swojej pracy.

Witold Dryll, sekretarz Komitetu Warszawskiego PZPR, zabierając głos w dyskusji, stwierdził, że obrady IX Plenum wzbudziły ogromne, zrozumiałe zainteresowanie. To dobrze. W niektórych jednak kręgach wiąże się z plenum nadmierne oczekiwania. Wynikają one na ogół z własnej bierności, z przekonania, że samo odbycie plenum rozwiąże trudności i napięcia. Zdecydowanie przeciwstawiamy się — mówił Witold Dryll — takim postawom. Umacniamy przeświadczenie, że o warunkach naszego życia decyduje nasza praca.

Właśnie — praca. Praca nas wszystkich. I inicjatywa, dobre pomysły, myślenie kategoriami państwa, a nie ciasny partykularyzm.

Referat Biura Politycznego to jednocześnie jeden wielki apel do całego społeczeństwa. Partia szczerze, otwarcie mówi nie tylko o tym, co jest wielkim wspólnym dorobkiem, ale przedstawia trudności, które wspólnie musimy przezwyciężać, problemy, które wspólnie musimy rozwiązywać. Chodzi o godne miejsce Polski w świecie. We wszystkich naszych poczynaniach musimy łączyć dbałość o zaspokajanie potrzeb dnia dzisiejszego z troską o przyszłość, o rozwój naszego narodu i racjonalne wykorzystanie zasobów naszej ziemi.

W sumie jest to odpowiedzialność nie tylko za obecne, ale i za przyszłe pokolenia.

W kraju reprezentanci humanistyki UMCS aktywnie współpracują i utrzymują kontakty naukowe ze wszystkimi bodaj ośrodkami uniwersyteckimi oraz zespołami i komisjami instytutów PAN-owskich: Historii, Badań Literackich oraz Komitetem Językoznawczym.

Na szczególne podkreślenie zasługuje rola Wydziału w środowisku lubelskim. Pracownicy naukowi lubelskiej humanistyki kierują pracami i od lat stanowią podstawowy aktyw takich towarzystw, jak: Polskie Towarzystwo Historyczne, Towarzystwo Miłośników Języka Polskiego, Towarzystwo Literackie im. A. Mickiewicza, Towarzystwo Neofilologiczne, Polskie Towarzystwo Archeologiczne i Numizmatyczne, Towarzystwo Logopedyczne, czy też utworzone ostatnio Polskie Towarzystwo Rusycystyczne. Kierują oni pracami odnośnych sekcji Lubelskiego Towarzystwa Naukowego. Liczne sesje naukowe, serie odczytów, imprezy okolicznościowe i rocznicowe, odczyty i referaty, publikacje w prasie codziennej — oto zasadnicze formy tej działalności.

W ubiegłych latach w ramach Powszechnych Wykładów Uniwersyteckich występowało blisko 80 proc. pracowników Wydziału. Spośród nich rekrutują się w znacznej mierze kadry wykładowców WUML-u, Wojewódzkiego Ośrodka Pracy Ideowo-Wychowawczej, lektorów KW PZPR Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej, TWP, TPPR i wielu innych.

Wydział stał się znaczącym centrum nauki i kultury, głęboko ideowym ośrodkiem marksistowskiej myśli humanistycznej.

Baza materialna Wydziału — warunki lokalowe oraz posiadana kadra — a przede wszystkim potrzeby gospodarki i kultury kraju i regionu nakazują względną stabilizację zadań Wydziału, przynajmniej do roku 1980. Do tego czasu nie przewiduje się w zasadzie powoływania nowych kierunków studiów i tworzenia nowych jednostek organizacyjnych. Jedynym wyjątkiem może tu być ewentualne uruchomienie studiów kulturoznawczych w oparciu o Zakład Historii Kultury Instytutu Historycznego.

W dalszej perspektywie planuje się utworzenie studiów archiwistycznych, kształcących absolwentów głównie w zakresie archiwistyki nowożytnej oraz reaktywowanie Zakładu Etnografii i uruchomienie studiów etnograficznych. W jeszcze dalszej przyszłości można będzie podjąć starania o utworzenie studiów i odnośnych zakładów Filologii Klasycznej i Historii Sztuki. Uruchomienie powyższych kierunków, możliwe dopiero około połowy lat 80-tych, uzupełniłoby profil humanistyki UMCS.

Gwarancją spełnienia postawionych przed Wydziałem aktualnych zadań i jego ambitnych planów rozwojowych jest własna, liczna już, młoda i prężna kadra naukowa, która w ciągu 3—4 lat wzbogaci się o około 30 samodzielnych pracowników naukowych oraz 50 doktorów.

Wielkość Wydziału (ponad 3 tys. studentów i 230 pracowników naukowych), a zwłaszcza jego złożona struktura — istnienie 9 kierunków studiów oraz znaczne zróżnicowanie problematyki badawczej — nakazują rozpatrzenie możliwości jego podziału. Dość wyraźnie zarysowują się przy tym dwa przyszłe wydziały: Filologiczny — obejmujący filologię polską i wszystkie neofilologie, oraz historyczny — obejmujący prócz historii archeologię, bibliotekoznawstwo, a w przyszłości także kulturoznawstwo, etnografię, archiwistykę i historię sztuki.

Te ambitne plany i zamierzenia, wychodzące naprzeciw potrzebom regionu i kraju, są w pełni realne i wykonalne, tym bardziej że w projektach rozwojowych uczelni na najbliższe lata mieści się rozbudowa gmachu humanistyki, co w wydatnym stopniu poprawi bardzo trudne obecnie warunki pracy Wydziału.

BADANIE KULTURY POLITYCZNEJ

Aleksander Olszewski

KULTURA polityczna społeczeństwa jest jednym z tych czynników, które w istotny sposób wpływają na formowanie poglądów i postaw politycznych oraz ideologicznych całego społeczeństwa, poszczególnych jego grup i jednostek, a zwłaszcza ich stosunku do władzy politycznej. Stan kultury politycznej, jej treść i formy określają zatem w stopniu znaczącym stopień aktywności społeczno-politycznej danego społeczeństwa, stopień jego zaangażowania w realizację celów i zadań stawianych przez władzę polityczną, a także charakter stosunków między obywatelem a państwem.

Dlatego też ważne znaczenie — zarówno poznawcze jak i praktyczne — ma skonstruowanie modelu kultury politycznej społeczeństwa, który w stopniu optymalnym służy rozwijaniu aktywności politycznej i zaangażowaniu społeczeństwa na rzecz panującego ustroju społecznego. Sprawa ta ma szczególne znaczenie w warunkach budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego w PRL. Na tym etapie wzrasta bowiem rola i znaczenie czynnika ludzkiego, a zwłaszcza aktywności, inicjatywy i zaangażowania społeczeństwa we wszystkich sferach życia społecznego — jako jednych z głównych dźwigni rozwoju społecznego. Problem ten eksponuje Uchwała VII Zjazdu PZPR. Kulturowo-polityczne aspekty tego problemu i ich znaczenie podkreśla również III Plenum KC PZPR (1976).

Badania nad kulturą polityczną społeczeństwa socjalistycznego w PRL miały dotychczas charakter wycinkowy i doraźny. Ich wyniki ograniczają się jedynie do sformułowania zakresu podstawowych pojęć i kategorii, związanych z tą problematyką (kultura polityczna, świadomość polityczna, opinia polityczna, propaganda polityczna i inne) oraz do empirycznej analizy poszczególnych przejawów kultury politycznej i ich następstw w sferze zachowań ludzkich. Brak kompleksowości w tych badaniach sprawia, że nawet ten zasób wiedzy cząstkowej nie może być w pełni wykorzystany. Dotychczasowe badania pozwoliły bowiem jedynie na sformułowanie bardzo ogólnych i nie zawsze kompletnych hipotez co do najważniejszych problemów, w szczególności takich, jak kwestii prawidłowości i tendencji rozwoju kultury politycznej w społeczeństwie socjalistycznym, zakres ich uwarunkowań obiektywnych i subiektywnych, zasięg skuteczności poszczególnych form kształtowania kultury politycznej i umacniania w niej treści socjalistycznych. Niemal poza uwagą badaczy pozostają nowe zjawiska, które w dziedzinie kultury politycznej kształtują dynamiczny rozwój sił wytwórczych, zwłaszcza proces rewolucji naukowo-technicznej, towarzyszący budowie rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego.

Z drugiej jednak strony dotychczasowe badania pozwoliły na sformułowanie kategorii pojęciowych, związanych z tą problematyką w stopniu takim, że podjęcie badań wiodących do bardziej kompleksowych wyników staje się dziś możliwe.

W związku z powyższym władze polityczne i resortowe ustaliły szeroki zakres badań podstawowych w latach 1976—1979 pod ogólną nazwą „Model kultury politycznej społeczeństwa socjalistycznego PRL." Jednostką koordynującą całość prac jest Instytut Nauk Politycznych Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Do badań włączyły się wszystkie ośrodki w kraju mające odpowiedni potencjał naukowo-badawczy, w tym również i Międzyuczelniany Instytut Nauk Politycznych UMCS, w ramach którego realizowane są tematy związane z efektywnością oświaty politycznej. Instytut współpracuje ponadto z Uniwersytetem A. Mickiewicza w Poznaniu. Zakłada się, że dzięki kompleksowemu ujęciu badań możliwe będzie sformułowanie w raporcie końcowym całościowej oceny aktualnego stanu kultury politycznej społeczeństwa socjalistycznego PRL, prawidłowości i tendencji rozwojowych oraz na tym tle zarysowanie modelu kultury politycznej, optymalnego dla etapu budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego.

Cel główny proponuje się osiągnąć przez realizację następujących celów cząstkowych.

— określenie aktualnego stanu kultury politycznej społeczeństwa socjalistycznego w Polsce i jego głównych komponent wraz z określeniem specyfik różnych grup społecznych; dla osiągnięcia tego celu niezbędne będzie przeprowadzenie szeroko zakrojonych terenowych badań empirycznych, obejmujących najważniejsze grupy społeczne;

— ustalenie indeksu czynników obiektywnych i subiektywnych, kształtujących kulturę polityczną społeczeństwa socjalistycznego oraz zakres ich roli i hierarchii wpływu na proces kształtowania kultury politycznej; w szczególności niezbędne będzie gruntowne zbadanie roli, jaką w kształtowaniu kultury politycznej społeczeństwa socjalistycznego odgrywa system ideologiczno-polityczny i jego poszczególne części składowe (środki masowej informacji, propaganda partyjna, system szkolny, kultura, organizacje masowe itp.), a więc ten czynnik, którego usprawnienie jest w największym stopniu uwarunkowane subiektywnie, zależy od efektywności ludzkiego działania;

— zbadanie zasięgu skuteczności różnych form kształtowania kultury politycznej oraz ich ocena i hierarchizacja z punktu widzenia potrzeb praktyki; w związku z tym niezbędne będzie podjęcie badań w zakresie teorii i praktyki propagandy politycznej;

— określenie zmian, które do modelu kultury politycznej społeczeństwa socjalistycznego wnoszą przeobrażenia społeczne, kształtowane w procesie realizacji programu dynamicznego rozwoju Polski, sformułowanego na VI i VII Zjeździe Partii;

— określenie współzależności między walką ideologiczną dwu systemów społeczno-ekonomicznych w skali międzynarodowej, a procesami formowania się kultury politycznej społeczeństwa socjalistycznego.

Tak szerokie potraktowanie tematu badawczego pozwoli uzyskać istotne efekty zarówno w sferze poznawczej, gdzie nastąpi wzbogacenie wiedzy o mechanizmach rozwoju społeczeństwa socjalistycznego (w szczególności o roli funkcji czynnika świadomościowo-politycznego), jak i w sferze praktycznej, gdzie umożliwi się sformułowanie ocen i rekomendacji, które mogą być wykorzystywane dla usprawnienia działalności ideologiczno-politycznej w różnych dziedzinach naszego życia.

Kamena str. 3

IMPRESJE Z KRAJU RAD (V)

Talent to rzecz rzadka

Ireneusz J. Kamiński

CORAZ większe zainteresowanie teatru radzieckiego i publiczności wzbudza dramaturgia republik, które do niedawna nie mogły pochwalić się posiadaniem wybitniejszych indywidualności autorskich. Mieszkający w Mińsku Andriej Makajonok to postać dobrze już znana w Związku Radzieckim dzięki symbolicznym komediom satyrycznym, w których często pojawiają się motywy zaczerpnięte z twórczości ludowej. Zresztą Makajonok — jak twierdzi Irina Lucjanowna Wiszniewska z Instytutu Historii Sztuki w Moskwie — sprawia wrażenie, jakby opuścił przed chwilą świat ludowej skazki, przyodziany w prostotę ducha i poczciwość chłopskiego bohatera. Tymczasem ten pięćdziesięcioletni człowiek zna języki — francuski, polski, litewski — dużo podróżuje i w ogóle jest bywalcem świata kultury artystycznej, który uznał przecież, że tylko tzw. chłopski rozum chroni dziś przed relatywizmem etycznym i pozwala uczciwie rozpoznać rzeczywistość.

Makajonok jest m. in. autorem sztuki o charakterze paraboli, której akcja rozgrywa się „gdzieś na Zachodzie". W pewnej strasznie przeciętnej, egzystującej dzięki drobnym świństwom rodzinie wychowuje się chłopak, który okazuje się nie tylko wszystko wiedzieć o świecie, co i tak jest już powodem obrazy dla otoczenia, ale na domiar wszystkiego ocenia postępowanie ludzi w prostych kategoriach moralnych: dobra i zła. Dwunastoletni dzieciak jest więc maltretowany przez najbliższych dla których prawda i sprawiedliwość to pojęcia obce, a może nawet podważające ich życiowy status. W rezultacie „Zadręczony apostoł" — tak brzmi tytuł sztuki — próbuje popełnić samobójstwo, wyskakując przez okno. Rodzina milczeniem kwituje ten dramatyczny odruch chłopca, ale jest to milczenie pełne ulgi. Tymczasem otwierają się drzwi i apostoł wraca: cały i zdrowy, tyle że kompletnie zidiociały. Jedyną jego pasją staje się od tej chwili jedzenie. A rodzina nie posiada się ze szczęścia: syn marnotrawny powrócił na jej łono, życie toczyć się będzie normalnie.

„Zadręczony apostoł" cieszył się ogromnym zainteresowaniem publiczności, podobnie jak inne sztuki radzieckie, których osnową są problemy dobra i zła, postaw ludzkich, celów życiowych.

Do najbardziej znanych pisarzy i dramaturgów z republik związkowych należą ponadto tacy twórcy, jak: Rasuł Gamzatow, Eduardas Miezelaitis, Kamil Jaszen, Gumar Prijede, Mirzo Tursun-zade i Czyngis Ajtmatow. Obok wielu innych, ci właśnie pisarze wcielają w rzeczywistość ideę kultury radzieckiej: tak zróżnicowanej, jak odmienne jest wewnętrznie wielonarodowościowe państwo, w którym żyją, i tak jednorodnej, jak jedna jest ideologia profilująca aktywność tego społeczeństwa. Czyngis Ajtmatow, autor „Matczynego pola" i „Białego parostatku", prozaik i dramaturg, jest Kirgizem — który z okazji jubileuszu moskiewskiego Teatru Wielkiego miał tam cykl wykładów o pisarstwie Dostojewskiego. Ajtmatow, dodajmy, należy do młodego pokolenia pisarzy, których czasami określa się w Związku Radzieckim mianem encyklopedystów, wskazując tym samym na ich wszechstronne wykształcenie. Autor „Dżamili" zna kilka języków i ukończył Instytut Literatury im. Gorkiego (który mieści się w domu, gdzie urodził się Aleksander Hercen).

W jednym z poprzednich artykułów wspomniałem mimochodem o tej znanej w świecie i będącej przedmiotem różnych komentarzy instytucji. Ludzie nastawieni doń niechętnie argumentują najczęściej, że takie „szkoły literackie" nie mają sensu, albowiem wrażliwości, krytycznego widzenia rzeczywistości, słuchu językowego i w ogóle sprawności pisarskiej nikt nikogo nie jest w stanie nauczyć. To się ma, albo nie.

Tymczasem Instytut moskiewski usiłuje, mówią, kształcić poetów i prozaików. Rzeczywistość przedstawia się jednak nieco inaczej. Warunkiem przyjęcia do Instytutu jest ukończenie dziesięciolatki oraz dwuletni staż pracy w jakimś zakładzie produkcyjnym, a także posiadanie skromnego choćby dorobku pisarskiego. Studia trwają pięć lat, a dyplom otrzymuje się na podstawie napisanej książki czy sztuki, odnotowanej przez recenzentów w prasie. Absolwent uczelni nie otrzymuje przecież tytułu „pisarza", zgodnie z literą dyplomu jest „pracownikiem literatury". To określenie wprowadził do statutu Instytutu sam Gorki, człowiek, który doskonale wiedział, że najlepszą szkołą dla pisarza jest życie. Celem uczelni jest „kształcenie kulturalnych, inteligentnych ludzi" — że powtórzę słowa I. L. Wiszniewskiej — którzy otrzymują przygotowanie do podjęcia pracy w wydawnictwach, redakcjach, teatrach. Część wchodzi do literatury — za sprawą talentu, osobistych predyspozycji. Nie ulega przy tym wątpliwości, że słuchanie wykładów Rożdżestwienskiego, Wozniesienskiego, Winokurowa, Katajewa czy Simonowa — i tym ludziom umożliwia szybsze zyskanie samoświadomości twórczej. Instytut posiada zresztą charakter kameralny, skupiając zaledwie 300 słuchaczy, w tym pewną grupę obywateli z krajów Trzeciego Świata.

Tak więc, powracając do głównego wątku, Moskwa i Leningrad nie mają już monopolu na najciekawsze zjawiska kultury artystycznej. Oczywiście, są to ośrodki nadal dominujące pod wieloma względami. Ostatecznie z 7000 członków Związku Pisarzy ZSRR aż 1500 mieszka w Moskwie. Ale właśnie w kontekście tego rodzaju „mocy kulturowej" szczególnie wyraźnie eksponuje się awans twórczości powstającej w innych republikach związkowych, które pozostaje w bezpośredniej relacji z rozwojem oświaty na tych obszarach. Dość powiedzieć, że w republikach Azji Środkowej i Kazachstanie istniało przed Rewolucją Październikową zaledwie kilka szkół, podczas gdy obecnie dzia-

Fot. Archiwum

Historia — piśmiennictwo czy pisarstwo?

Bronisław Seniuk

APOGEUM ogólnonarodowych rozważań o przyszłości polskiej oświaty mamy już poza sobą. Sztaby złożone z pracowników nauki, nauczycieli, pedagogów pracują teraz nad podręcznikami i programami. Wielkie nazwiska połączone z tą wielką sprawą przydają jej powagi, tworzą dobry klimat. Z uwagą czytałem i słuchałem głosów dyskusyjnych, a z największą uwagą wszystkiego co dotyczyło historii — przedmiotu tego uczę bowiem w szkole.

Mimo optymistycznych prognoz i nadziei wiele kręgów społecznych, w tym również społeczność nauczycielska, drążą następujące wątpliwości: 1) czy wyniki badań historyka mogą dać prawdziwy obraz przeszłości, a sądy zawarte w publikacjach są adekwatne do wniosków wieńczących długoletnie nieraz badania?, 2) jaka powinna być forma ekspozycji?, 3) co należy robić, by wzmocnić zaufanie do historii jako nauki, zaufanie które zmalało wskutek pewnego kryzysu nauk humanistycznych oraz powikłań przydających historii opinię „panny do wszystkiego" („Przegląd Kulturalny" 1961 r.)?

Wątpiących jest wielu. Obnoszą się z grubymi portfelami zarzutów, najczęściej naiwnych, nieraz bardzo istotnych. Wyróżnić wśród nich można, z grubsza biorąc, kilka grup.

Kategorię pierwszą stanowią krytycy totalni, którzy uważają, że rekonstrukcja przeszłości jest absolutnie niemożliwa, ponieważ źródła nie są w stanie przekazać nam prawdy o minionych czasach. Analiza historyczna, nawet jeśli jest logiczna w toku budowania pewnych konstrukcji, to zawodzi w punkcie wyjściowym, ponieważ źródło nie zawsze zna prawdę, często świadomie ją przeinacza, lub też wydobyć jej nie potrafimy. A że empirycznie wyników swoich badań udowodnić historycy nie są w stanie, wobec tego praca naukowo-badawcza jest tylko dowolnym spekulowaniem. Łagodniejsi godzą się na opis, wykluczają syntezy, a więc prace najcenniejsze, to co w twórczości materialnej nazywamy produktem końcowym. W ich opinii opisywanie faktów nie jest błądzeniem, ale interpretacją; szukanie przyczyn, powiązań, mimo pozorów prawdziwości, z punktu widzenia nauki jest ryzykiem. Warto dodać, że mniej sprzeciwów wywołują takie materiały źródłowe jak rachunki gospodarcze, materiały aktowe, więcej — korespondencja, pamiętniki. Idąc dalej tym tropem, najwierniej odtworzyć można dzieje gospodarcze, historię myśli politycznej, historię wojskowości.

Grupa druga wyraża protest tylko przeciw „fotografowaniu" stanów psychicznych jednostek. Sama psychologia, która ma do dyspozycji konkretny przedmiot obserwacji, potrzebuje miesięcy, a nawet lat, by móc w oparciu o badania kliniczne określić cechy charakteru, motywy działania, stan umysłowy swojego pacjenta. Czy wobec tego szczegółowa nawet analiza, krok po kroku, dzień po dniu, intryga po intrydze, może dać wewnętrzny portret osoby żyjącej kilka tysięcy lat temu? Czy nie jest to tylko snucie domysłów, które mogą być trafne, ale nie muszą? Potrzebna jest tutaj również głęboka znajomość socjologii, a nawet psychologii, a przecież historyków mających poza sobą przygotowanie z tych dziedzin jest chyba niewielu. Wygląda to trochę na dorosłą zabawę z duchami.

Jako przykład świetnych prac podaje się często rozprawy E. Tarlego, który kreśli sylwetki wybitnych polityków i wodzów z dokładną analizą ich struktury psychicznej. Oponenci powiadają, że sugestywność bardziej wynika z rzadko spotykanego talentu pisarskiego, niż z naukowej argumentacji. Zarzuty te są skutkiem dowolności interpretacyjnej i oceny źródła, a następnie interpretacji i oceny faktu historycznego. Zjawisko to ma tło znacznie szersze, wykracza poza historię, a doprowadza

Kamena str. 4

ła tam 26 000 szkół ogólnokształcących, 487 specjalistycznych i 110 wyższych. Warto też zapamiętać, że 40 narodów ZSRR, które nie posiadały przed rewolucją własnego piśmiennictwa, otrzymało alfabet i język literacki, opracowane przez naukowców.

Wartości kultury radzieckiej, których skromny rejestr starałem się przedstawić w „Impresjach z Kraju Rad", nie byłyby dziś czytelnym, gdyby ich tworzenie nie zaczęło się jeszcze w czasie Rewolucji Październikowej, gdyby nie stosunek Lenina do ludzi sztuki. Jak wiadomo, twórca pierwszego państwa socjalistycznego był zachłannym czytelnikiem literatury, znakomicie orientującym się w pisarstwie autorów XIX-wiecznych i wcześniejszych okresów. Niejednokrotnie, jeszcze przed rewolucją, zabierał głos w sprawach literatury i mimo że występował wówczas z pozycji polityka i ideologa, to przecież niektóre jego refleksje mają walor inspirujący naukę i krytykę literacką. Ta uwaga odnosi się m. in. do artykułów Lenina o Tołstoju, trafnie analizujących podłoże społeczne i ideologiczne powieści wielkiego prozaika rosyjskiego. Bardziej praktyczne, a przez to szczególnie ważne w okresie rewolucji znaczenie miały decyzje Lenina dotyczące konkretnych spraw i konkretnych artystów.

Znany jest list Lenina do Łunczarskiego z 1908 roku, w którym nadawca zastanawia się, czy powierzyć Gorkiemu dział beletrystyczny w piśmie „Proletarij". *Jeżeli człowiek jest zajęty poważną wielką pracą, jeżeli tej pracy zaszkodzi odrywanie się dla drobiazgów, gazety, publicystyki — to przeszkadzać mu i odrywać go byłoby głupotą i przestępstwem! Ja to doskonale rozumiem i czuję... Jeżeli uważacie, że nie zaszkodzimy pracy Al. M-cza* (Gorkiego — przyp. aut.), *gdy go zaprzęgniemy do regularnej pracy partyjnej (a praca partyjna moc na tym zyska!), to postarajcie się to urządzić.* Sygnalizowane w tych zdaniach zrozumienie dla specyfiki pracy twórczej i osobowości artystycznej demonstrował Lenin w najcięższych chwilach władzy radzieckiej, kiedy kraj szarpały armie interwentów i „białych" generałów. W latach 1919—1921 Gorki słał do Lenina dziesiątki listów, zawierających przeróżne prośby, z których niejedna mogła zirytować adresata. Oto ich wykaz, przedstawiony przez Laszlo Gyurko w książce „Lenin — Październik" (wydanej w Polsce w 1970 roku w tłumaczeniu T. Olszańskiego).

Spotkać się z Kurpinem w sprawie literatury; wydać gazetę informacyjną dla komunistycznych agitantów; przetłumaczyć na wszystkie języki europejskie spis pozycji, które wyjdą w serii Literatura Światowa; przyjąć amerykańskiego dziennikarza Farbmana; pozostawić naukowcom dzienny przydział 1800 kalorii na głowę; uwolnić oskarżonego za udział w spisku chemika Sapożnikowa, który wynalazł metodę produkowania środka odkażającego ze smoły pogazowej; stworzyć Menuchinowi możliwości prowadzenia dalszych prac badawczych nad szczepionką przeciw durowi plamistemu; przewieźć z Moskwy z powrotem do Leningradu skarby Ermitażu; zorganizować ligę zwalczania przestępstw wśród małoletnich; rozpocząć zbiórkę szkła ze zniszczonych domów, szmat po workach na piasek oraz żelastwa; przeczytać rękopisy wspomnień Czernowa i Martowa; wydać zezwolenie na posiadanie dodatkowych pokoi na gabinety pracy naukowcom, zarekwirować majątki emigrantów; odwiedzić Instytut Fizyki Łazariewa.

Lenin odpowiadał na te listy, wydawał odpowiednie dyspozycje, żadnej prośby Gorkiego nie bagatelizował i tylko raz — jak wskazuje H. Markiewicz — *można wyczuć rozdrażnienie i gniew z tonu jego wypowiedzi*, ubrane przecież w całkiem strawną formę. Wiadomo przy tym, że Gorki — łatwo ulegający wpływom otoczenia, neurasteniczny — niejednokrotnie swoimi wypowiedziami czy decyzjami stawiał Lenina wobec konieczności publicznej krytyki pisarza. Nawet najbardziej cenieni przez Lenina artyści musieli liczyć się z jego zdecydowaną dezaprobatą wówczas, kiedy w wyraźny sposób podważali pryncypia ideowe i politykę partii bolszewickiej. Co oczywiście nie stoi w żadnej sprzeczności ze stwierdzeniem, że Lenin szanował ludzi sztuki i wyznaczał im ważną rolę w społeczeństwie. Przypomnijmy takie zdania Lenina: *Talent — to rzecz rzadka. Trzeba mu systematycznie i ostrożnie pomagać.*

Artysta według Lenina to „obserwator ludzi". To przekonanie, wyrażone kilkadziesiąt lat temu, do dziś stanowi swoiste motto literatury i sztuki radzieckiej, a także prac naukowych, podejmujących problematykę kultury artystycznej. W moskiewskim Instytucie Historii Sztuki nie interesują się konceptualizmem i innymi tendencjami, które usiłują badać rzeczywistość języka sztuki, lekceważąc zupełnie rzeczywistość społeczną jako tworzywo kreacji. *Napisałam monografię Picassa, bo dostrzegam w tej twórczości syntezę naszych czasów* — wyjaśnia Nina Aleksandrowna Dymitrewna, starszy pracownik naukowy zakładu sztuki współczesnych krajów kapitalistycznych owego instytutu. *Podobne wartości dostrzegam w dziele Chagalla czy Felliniego... Obecnie opracowuję monografię van Gogha, próbując zweryfikować mity, które narosły wokół postaci i malarstwa artysty. Zwyczajowo dostrzega się „dwóch van Goghów": z okresu holenderskiego, który akcentuje problematyka społeczna, i francuskiego, szczególnie eksponowanego. Ja nie widzę powodów do takiego podziału. Van Gogh był jeden... Sztuka zmienia się, to prawda, ale my szukamy w tej zmienności czegoś trwałego.*

Leningrad

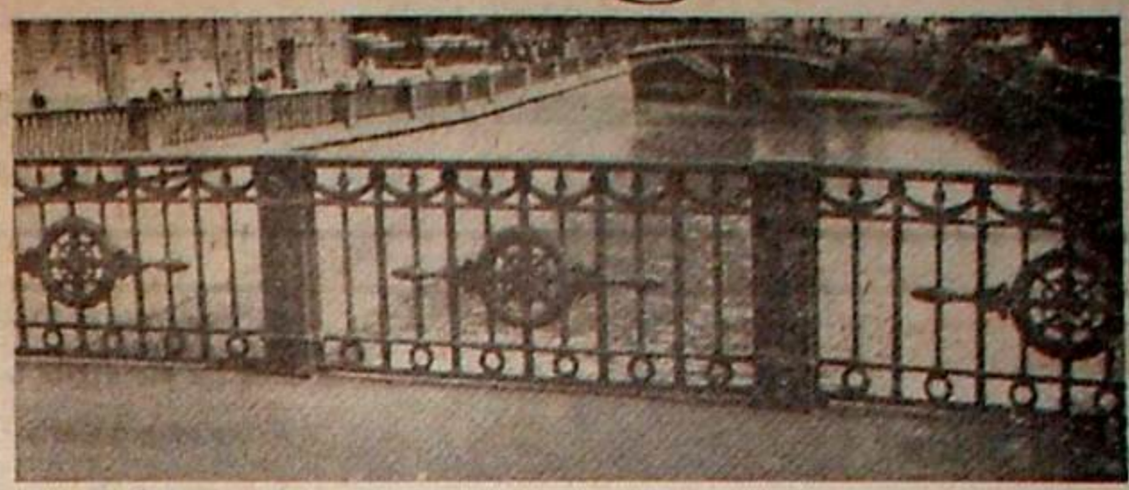

Krata na kanale Gribojedowa

Admiralicja od strony Newy

Fot. D. B. Łomaczewska

niekiedy do sytuacji groteskowych. I dobrze jeśli się taki efekt zamierza osiągnąć. Gorzej, jeśli dojdzie do takiej sytuacji wbrew zamierzeniom autora. Dyskusja wkroczyć może następnie na płaszczyznę teorii poznania, otrzeć się o możliwości poznawcze w naukach przyrodniczych czy technicznych, gdzie przecież też przyjmowane są teorie kontrowersyjne, a nieraz już weryfikowano fakty wydawałoby się niepodważalne.

Zrozumiały niepokój wśród odbiorców prac popularno-naukowych, a nawet naukowych, budzi dyskusja nad sposobem wykładu historii. Myślę, że dylemat: być nauką, pisać sucho i precyzyjnie, albo przestać być nauką i pamiętać o malowniczości jest zwykłą przesadą. To nie jest konserwatyzm. Wielu wśród „moralistów naukowej formy", nie zapominając o precyzji i erudycji, pamięta by pióro prowadzić jak najładniej. Zresztą jest to sprawa talentu pisarskiego badacza, ujmowanego zagadnienia, a nawet epoki. Historia traktowana przez niektórych profesjonalistów jako nauka i sztuka zarazem ma tę zaletę, że dzięki dramatyzmowi pióra autorów szczególnie utalentowanych występuje w roli nie tylko nauczyciela, ale i narratora literackiego. Intelekt wystarcza do rozumienia przeszłości, ale wyobraźnia przybliża ją do nas, oddaje jej barwy i kształty. Nie zawsze, choć jest to mniemanie powszechne, stopień hermetyczności opracowania wyznacza zasięg i kręgi odbioru. Dużo do powiedzenia ma też problematyka. Sami historycy poszukują nowych rozwiązań, nowych form pisarskich.

Z zainteresowaniem śledzona jest dyskusja na temat relacji współczesności i czasów minionych. Często nadmiernie eksponuje się „inność", tamtych ludzi. Przeglądając spuściznę naszych praojców nasuwa się refleksja, że mimo różnic w poziomie sił wytwórczych, stanie wiedzy, odległości między nami wyznacza niekiedy tylko ogromny dystans czasu, a bliscy sobie jesteśmy w sposobie myślenia. Jakże blisko, dla przykładu, siebie stoją egzystencjaliści ze swoimi lękami i szereg znanych postaci ze schyłku starożytności. Przypuszczam, że opracować można krzywą zależności między każdą z epok a wiekiem, w którym żyjemy. Ktoś może powiedzieć, że są to pogłosy dawno przebrzmiałych sporów, sięgających jeszcze czasów pozytywizmu. Tak jednak nie jest. Niejednokrotnie historycy sami wątpią w celowość swojej pracy. Bo o tym chyba świadczy myśl zawarta we wstępie do jednej z licznych kronik z XVII wieku — „szukanie wiatru w polu". Autor użył tego zwrotu mając na myśli próbę odtworzenia dziejów bohaterów kroniki.

Ostatnia, żywa dyskusja nad tymi zagadnieniami toczyła się na początku lat sześćdziesiątych. Odtąd minęło kilkanaście lat. Przez ten czas przygotowywano projekty nowego modelu edukacyjnego, a kilkanaście roczników nauczyło się czytać, pokończyło szkoły. Brak zaufania jest często skutkiem niedostatku wiedzy. Uważam, że rozumienie dziejów jest niemożliwe bez ogólnej choćby orientacji w warsztacie historyka. Część nauczycieli, a nie jest to myśl oryginalna, proponuje wprowadzić zajęcia z techniki badań historycznych. Nie ujmują tych zagadnień przedstawione do dyskusji projekty programów powszechnej szkoły dziesięcioletniej. Pewien margines dowolności stanowią zajęcia fakultatywne, osobiście uważam, że nie jest to miejsce najwłaściwsze dla tego rodzaju pracy. Niektóre podręczniki, przede wszystkim w klasach starszych, wprowadzają tzw. teksty źródłowe. Wydawane są również zbiory tekstów źródłowych przeznaczone dla szkół. Są to jednakże tylko okruchy, przy tym trudno dostępne i nie takich rozwiązań oczekuje przyszła dziesięciolatka.

Myślę, że należy przygotować edycje źródeł dla każdej epoki, o zwiększonym nakładzie, charakterystycznej dla tego okresu szacie graficznej i udostępnić je szkołom. Dobrym wzorem są „Pomniki Dziejowe". PWN wydały nawet antologię literatury staroruskiej (XI — XVII wiek). Pasek jest wspomniany w podręczniku historii dla klasy VI, ale ostatnie wydanie jego pamiętników jest nieuchwytne, wcześniejsze zdążyły już posiwieć. A przecież ta właśnie lektura przybliżyłaby młodzieży „Mazurka Dąbrowskiego" i uczyniła jego treść zrozumiałą dla wszystkich. Podobne znaczenie mają dokumenty z lat nam najbliższych. Literatura faktu przeżywa obecnie rzadko spotykane ożywienie i wzięcie. Jest to właściwy moment by skorzystać z tego w sposób trwały, przeszczepić je na grunt szkoły.

Analiza literacka jest zjawiskiem codziennym nawet w szkole podstawowej. Czymże wobec tego straszy nas analiza historyczna? A przede wszystkim czy słusznie nas straszy? Dyscypliny przyrodnicze mają do swojej dyspozycji preparaty, okazy, substancje — wszystko to, z czym młodzież uczy się aktualnie w czasie zajęć. Fakty historyczne, które nie mogą być dostępne bezpośrednio, na domiar złego podawane są ręką trzecią, czwartą, albo i jeszcze dalszą. W uproszczeniu wygląda to tak:

A) 1) wydarzenie historyczne, 2) ślad, który przetrwał, 3) opracowanie historyczne, 4) podręcznik, 5) uczeń.

Praca ze źródłem drogę tę skróciłaby i pozwoliła niejako „dotknąć historii". Schemat wyglądałby wtedy tak: B) 1) wydarzenie historyczne, 2) ślad, 3) uczeń.

Oczywiście, nikomu nie marzą się nadzwyczajne rewelacje. Chodzi o to, by kontakt ze źródłem pozostawił takie wyobrażenie o nauce historycznej i historii, jakie daje oglądana przez obiektyw mikroskopu komórka o strukturze materii.

Ostrzegają niektórzy, że proponowane zagadnienia przekraczają możliwości percepcyjne dzieci i młodzieży szkolnej. Wymieniają szereg barier, które są rzekomo nie do pokonania. Nie mogę się zgodzić z takim stanowiskiem. W tym wieku młodzież jest dostatecznie dojrzała umysłowo i emocjonalnie by je pokonywać, tym bardziej że z innych przedmiotów rozwiązuje kwestie bez porównania trudniejsze. Istota problemu polega na przystępnym wyjaśnieniu skomplikowanych zagadnień, ale pamiętajmy, że w szkołach dziesięcioletnich pracować będą nieprzypadkowi, dobrze przygotowani specjaliści.

Na zakończenie jeszcze jedna propozycja. Dużo niewątpliwie światła na te skomplikowane sprawy rzuciłby należycie napisany artykuł odsłaniający stronę techniczną i metodologiczną warsztatu historyka, który przedstawiłby proces badawczy od momentu zainteresowania, od pierwszej ostrogi, przez żmudne poszukiwania archiwalne, analizę, decyzje interpretacyjne, aż po ostateczną konstrukcję i druk.

Musimy swoją Ojczyznę
pachnącą różami i chlebem
wprzód nakryć własnym sercem
jak gdyby drugim niebem

JAN POCEK

zapole

KORESPONDENCYJNY KLUB MŁODYCH PISARZY – OŚRODEK LUBELSKI PRZY ZW ZSMP

DEBIUT

Andrzej Mazur

* * *

I oto osiągnęli chwilę zwykłego pojednania
Najzwyklejszego na tej ziemi tak zwykłego jak woda
Tak zwykłego jak najprostsze pożywienie
Które się je i nie trzeba się wtedy porozumiewać
I nie trzeba związywać swoich dłoni w gordyjski węzeł
Bo potem nie ma kto w niego chlasnąć nożem

Po prostu któryś pierwszy z nich sobie uświadomił
Że trzeba tylko odejść to wystarczy
Bo tu już nic się nie wydarzy i nikt od nikogo nie ucieknie
Kto nie chce i on to zrobił
A ten drugi przyjął to pojednanie pojął to bo i po co
Siedzieć i patrzeć na siebie jak Parki
Gdy ludzie przędą nić i palą świece równocześnie
I nawet tych umownych znaków już zapomnieli
W zapomnieniu tych umownych znaków które czynią

DALEKO

A ten kto wie ten idzie szukać samotności
I wdzięcznym nie można mu być za nic
Ani oddać mu czegokolwiek
On poszukuje pradawnej jałowizny
I chce być czysty byk z którego nie ma już pożytku
I chce by wzrok mógł biegać po ścianach jak pająk
On spaceruje pod ścianami jak pająk
I nie wie nic co wiedział kiedyś
Pamięć nie działa leży rzucona pod schody jak wykrzywiony but
Który ogryza tłusty szczur

Paw nawet nie patrzy na szczura
Który ogryza z kostek pamięć
I strzela pestką pod schodami z nudów
Zachłanny jest i niezrozumiały
I chce dostrzegać tylko głodne pawiany i suche
I rozmawia tylko z nimi bo jedzą stary sznur
I nawet nie wie co mówi bo na nic mu to się nie przyda

Bo i na co się przyda to co się na nic nie przyda
I po co mówić kiedy się nie wie co się mówi
I po co wiedzieć co się wiedziało kiedyś
Kiedy głowa pestki uderza o schody
I upada w głupi proch

Tak oto proch jest głupi i przecież nigdzie nie idzie
I przecież lepiej żeby go nie było
I lepiej żeby były tylko cztery ściany
I żeby wzrok mógł biegać po nich jak pająk

I nic nie powiem do Ciebie nic bo Cię nie ma
Zjadłeś się jako szczur jako ptaka
I zbielały Ci zęby
I zbielały mi włosy
I patrzę na Ciebie i widzę że Cię nie ma
I tylko pożółkłe zabarwione oczy patrzą na mnie
Jakby jadły codziennie gramy kokainy
I grały same na sobie przekarmione jak skrzypce

NOTUJEMY

Nakładem Wydawnictwa Lubelskiego ukazał się tomik kol. Józefa Małka pt. „Rzep", stanowiący zbiór satyr prezentowanych w znanym kabarecie z Krzczonowa o tej samej nazwie.

●

Kol. Ryszard Kornacki (recenzję jego kolejnego tomiku zamieszczamy obok) został członkiem Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Gratulujemy serdecznie, życząc dalszych sukcesów.

●

W dniach 24—25 września ZW ZSMP w Lublinie wspólnie z WRZZ oraz instytucjami kulturalno-oświatowymi zorganizował II Jarmark Czytelniczy. Ta bardzo pożyteczna impreza przyczynia się do coraz szerszego upowszechniania czytelnictwa wśród młodzieży oraz popularyzowania atrakcyjnych form działalności kulturalno-oświatowej.

●

W związku z mającym się odbyć w roku przyszłym VI Krajowym Zjazdem KKMP (w Warszawie), w przygotowaniu znajduje się almanach poetycki, do którego złożyło swoje teksty 16 autorów z lubelskiego ośrodka KKMP.

●

Przed końcem bieżącego roku ma się ukazać nakładem Wydawnictwa Lubelskiego debiut prozatorski kol. Stanisława Łukowskiego pt. „Taka psia gwiazda". To samo Wydawnictwo opublikuje współczesną powieść psychologiczną Kazimierza Rosińskiego pt. „Człowiek z duszą na ramieniu". Złożyli tam także swoje powieści kol kol. Zbigniew Fronczek („Tam skąd pociągi odchodzą rzadko, a może wcale"), Zbigniew Strzałkowski („Dom pełen marzeń"), a Henryk Makarski drugi tomik wierszy pt. „Pragnienie".

W POSZUKIWANIU CZŁOWIEKA

WIERSZ to kontakt z ludźmi, nie tylko jako proces rozumienia i wnioskowania z treści i formy, ale również jako szukanie drogi do obcej i często zamkniętej, jednostkowej czy też zbiorowej mentalności innych — pisał Ryszard Kornacki w tomiku poetyckim „Wyjście z ciszy", wydanym w Międzyrzecu Podlaskim w 1973 roku nakładem Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Tej racji stara się autor być wiernym także w tomiku „Szukanie człowieka" wydanym przez Wydawnictwo Lubelskie.

Docieranie do psychiki drugiego człowieka przeprowadza Kornacki za pomocą własnego „ja", własnej psychiki za pomocą całej swojej własnej osobowości traktowanej instrumentalnie jako najistotniejsze źródło poznania i najbardziej adekwatny środek przekazu. Za pomocą mówienia o sobie mówi o całej otaczającej rzeczywistości, o przyrodzie i o drugim człowieku. Zintegrowany związek własnej osobowości z bytem nieosobowym: *w kwitnieniu lasów jestem iz twarzą pełną żywicy /.../ a oknem wchodzą drzewa! w krajobraz mój zgiełkliwy* — w otwierającym tomik wierszu „Jestem" wyjaśnia postawę poety wobec poezji jak też wobec otaczającego świata.

To „szukanie człowieka" sobą i poprzez siebie nie prowadzi do żadnych górnolotnych manifestacji, zamyka się w nieco przyciszonej nawet refleksji nad codzienną krzataniną, nad zwykłymi sprawami ludzkimi, troskami i radościami, nadzieją i zwątpieniem. Kornacki „szuka" człowieka w konkretnych sytuacjach, konkretnych sprawach, człowieka mocno — wręcz biologicznie — osadzonego na ziemi:

biegamy więc
jak ptaki przed deszczem
przytuleni mocno do ziemi

(* * *)

Kornacki jest przekonany, iż wielką wartością człowieka są nie tylko odczucia przyjemne czy nawet uczucia pozytywne, ale także wszystkie porażki, zwątpienia i rozgoryczenia. Bo one chyba bardziej trafiają do istoty człowieka, do jego sumienia.

Nie jest to poezja nowatorska i nie była nią w założeniach poety, nie posiada także ambicji kreowania świata. Są to zwykłe, powszechne rozmowy z człowiekiem odczuwającym i myślącym przede wszystkim w sobie samym. I te codzienne sprawy wbrew pozorom zawierają najwięcej dramaturgii, choć najczęściej jakby wyciszonej i znieczulonej.

Najbardziej wartościowe utwory: „mówimy...", „Ten człowiek", „List", „za naszym oknem...", „Pójdę sobie zwyczajnie", „rozgrzebali mój grób...", „Dzień targowy", „Na krawędzi", „sprowadzam siebie..." — powinny wskazywać drogę kontynuacji poetyckiej. Warunkują też pozytywną opinię o tomiku. Ponad przeciętną wybija się ten tomik autentycznym zaangażowaniem.

Stanisław Żurek

Ryszard Kornacki: Szukanie człowieka, Lublin 1975, Wydawnictwo Lubelskie, Lubelska Biblioteka Poetycka tom LXX, s. 48, cena zł 10.

Kilka słów felietonu

OD 7 do 9 lipca w obiektach uniwersytetu ludowego w Gardzienicach odbywała się biesiada literacka. Słowo „biesiada" jest dla wszystkich zrozumiałe. Natomiast termin „biesiada literacka" kryje w sobie pewną dwuznaczność. Niezorientowanym kojarzyć się może z biesiadowaniem literatów. W „Słowniku terminów literackich" pod redakcją Janusza Sławińskiego określenia „biesiada" nie ma, chociaż figuruje tam hasło „bigos literacki". Spieszę wyjaśnić, że faktycznie chodzi o spotkania literackie, lecz nie przy stole biesiadnym, tylko dyskusyjnym. Stół biesiadny zastawiony bywa różnie. W dużej mierze uzależnione jest to od kiesy gospodarza i zaopatrzenia rynku. Stół dyskusyjny zastawiony jest zazwyczaj butelkami wody sodowej, którą podczas zawziętych dyskusji można przepłukiwać gardła. W charakterze przystawek leżą na dyskusyjnym stole publikacje literackie przedstawicieli ośrodka, który spotkanie organizuje. W Gardzienicach wyłożono publikacje lubelskiego ośrodka KKMP, przygotowane na biesiadę organizowaną rok wcześniej. Danie literackie ma jednak wielką zaletę. Dobrze przyrządzone nie starzeje się nigdy.

Na biesiadzie spotkali się poeci początkujący, młodzi, starsi i ludowi. Zjawił się także pewien krytyk-poeta, dziś stołeczny, lecz pochodzący z Lublina, skąd ongiś wyjechał, uwożąc żal i przeświadczenie, że miasto to nie wyda już żadnego poety. Owego krytyka wyzwał na pojedynek pięściarski jeden z młodych, gniewnych lubelskich poetów. Krytyk przyjął wyzwanie. Stanęli naprzeciw siebie, zacisnęli pięści, któryś się nawet zamachnął, ale ku niezadowoleniu licznej rzeszy kibiców, do wymiany ciosów nie doszło. Przeciwnicy rozeszli się obrażeni, lecz przekonani o swych racjach.

Poezja to wspaniały temat nie tylko do dyskusji, ale i rywalizacji. Podczas biesiady ogłoszono wyniki wcześniej zorganizowanego konkursu. Wręczono nagrody. Były rzekomo o połowę niższe niż zapewniano w regulaminie. Zapewne w obawie, aby laureatom nie przewróciło się w głowach. I ten fakt nie osłabił w poetach chęci rywalizowania. Kilkadziesiąt osób odczytało teksty w turnieju na najlepszy wiersz. Ale i ta konfrontacja nie zadowoliła wszystkich. Drogą plebiscytu postanowiono ustalić, który ze współczesnych polskich poetów cieszy się największą popularnością.

— Czy należy brać pod uwagę nieodżałowanego Grochowiaka? — zapytał ktoś z sali.

Protestował jedynie Roman Sliwonik, który w tej klasyfikacji starał się zająć najwyższą lokatę.

Największą ilość głosów oddano na Herberta i Grochowiaka. Należy wspomnieć, że i lubelscy poeci brani byli pod uwagę. Aleksander Rozenfeld otrzymał dwa głosy, a Jerzy Jedziniak jeden.

Liczne dyskusje nikogo nie znudziły, ani tym bardziej zmęczyły. Nie przeciągały się wszak do późnych godzin nocnych. Wieczory przeznaczone były na co innego. Choćby na słuchanie kapeli podwórkowej z pobliskich Piask.

* * *

— No i jak? — zapytał mnie pewien osobnik z zainteresowaniami literackimi tak niesprecyzowanymi, że nie wypadną one z obiegu, choćby upodobania artystycznego zmieniały się z każdą porą roku.

— Za dużo piją — odparłem.

— Co za dużo! Gdzie indziej też piją. Może nie piją?

— Chyba piją — przyznałem.

— No właśnie.

* * *

— Czemu naszemu koledze cofnięto nagrodę w dzień po ogłoszeniu wyników? — zapytano.

— Zachował się niekulturalnie. A my jesteśmy przecież ludźmi kulturalnymi. Ja na przykład jestem doktorem — wyjaśnił pan, który zdobył ten tytuł badając wydolność ludzkiego organizmu podczas ośmiusetmetrowego biegu.

* * *

— Staramy się poetom pomagać — mówi animator ruchu kulturalnego. — Organizujemy im spotkania, wysyłamy ich w teren.

— Mnie na przykład jako prelegenta antyalkoholowego — zripostował Cugow-Kwiatkowski.

* * *

Nie należy się łudzić, że na podobnych imprezach wychowamy pisarzy. „Pisania nie można nauczyć" — powiedział ktoś w Gardzienicach. I słusznie. Bo zadumę, doświadczenie, żarliwość czy wrażliwość powinni piszący odkrywać sami. Nauczyć czy przekazać młodszym można jedynie wiarę w człowieka, w literaturę, w szacunek do słowa.

Niemniej bez podobnych imprez nasze życie literackie byłoby o wiele uboższe.

— — — — — — — — — — — —

Teraz po biesiadzie trzeba przestać narzekać i obiecywać. Wziąć się do pracy. Na narzekania i obiecywania nadejdzie czas podczas kolejnej biesiady.

Asmadeusz

Ani tobie się ktoś ukłoni...

Dokończenie ze str. 1

kając ludzi starych najbardziej osamotnionych i potrzebujących pomocy, częściej spotykam przypadki podobne temu, który ukazałem. Rodziny mieszkające w Lublinie od dawna lepiej zapewniają spokojną starość swoim rodzicom, niż nowo osiadłe, te pochodzące ze wsi. Oczywiście, sprawy, które tu ukażę — zastrzegam się zaraz na wstępie — są wyjątkami na tle wielkiej migracji. Najczęściej starzy ludzie cieszą się dobrymi stosunkami rodzinnymi, chociaż, jak się potem okaże, i oni nie znajdują w kamiennych domach z klatkami mieszkań pełnego szczęścia. Ono było tam, na wsi, tam, gdzie pozostawili wprawdzie harówkę nad siły, ale i sąsiadów, przyrodę, w którą byli wrośnięci od dzieciństwa, dobre i złe wspomnienia. Ich odczucia i sytuacja są podobne do tych, jakie poznajemy u przeszczepionego na miejski grunt bohatera powieści Juliana Kawalca pt. „W słońcu". Ptasiego mleka może mu tylko brakuje, a szczęścia i spokoju zaznać nie może.

Przypadki, które wypełniają mi notes, są skrajne i, niestety, dość liczne. Idę śladami adresów, które znajduję u zastępcy dyrektora Zespołu Opieki Zdrowotnej, mgr Marii Mierzwy, wśród nazwisk tych, co w zastępstwie dzieci — jeszcze nie alimentujących rodziców — wypłaca się renty specjalne, zasiłki okresowe, które w przyszłości, po wyroku sądu, zamierza się zrefundować od „najbliższych i ukochanych". Wędruję na jedno z nowych osiedli LSM, gdzie u wnuczki mieszka 91-letnia kobieta, mająca pięcioro córek i synów, w większości posiadających gospodarstwa. Także i to, na którym kiedyś przed laty, gdy jeszcze żył mąż, ciężko pracowała, jest we władaniu jednego z dzieci. U wnuczki jednak znalazła ostatnią ostoję, a przecież i tej jedynej, która poczuwa się do czegokolwiek, samej nie jest łatwo. Sąd Rejonowy w Lublinie ma rozstrzygnąć, ile ma od tamtych pięciorga wpłynąć na lubelski adres, dopiero prawo musi przypomnieć o podstawowych obowiązkach. Mieszkanie znajduję schludne, ale kobieta czuje się osamotniona, zawiedziona i powiada, że „straszno jest tak żyć w tych murach, a jak zjedziesz tą windą na dół, to ani tobie się ktoś ukłoni, ani ty masz kogo pozdrowić". Inna 90-letnia kobieta z Lubartowskiej przeżyła swoje dzieci, pozostało tylko czworo wnuków i u jednej wnuczki znalazła schronienie. Od jedenastu lat ratują ją zasiłki, teraz udało się przekonać pozostałych wnuków do dobrowolnych stałych datków na rzecz babci, bo ziemia, którą kiedyś uprawiała, jednak rodzi, powinna ją wyżywić. I jeszcze jeden los byłej rolniczki spod Siedlec. Miała tam dwanaście hektarów, teraz zamieszkuje w Lublinie u córki. Ona jedna spośród czwórki poczuwa się do obowiązku, a spadkobierca ziemi przesyła aż 100 zł (słownie: sto) miesięcznie, pozostałych dwoje nie łoży na jej utrzymanie wcale, więc ZOZ wypłaca okresowo po tysiąc złotych miesięcznie, czekając na pozytywny wyrok sądu w Siedlcach. 74-letnia kobieta własnych dzieci skarżyć nie chce, mówi mi: „to zawsze dzieci", wyręczyć muszą ją więc urzędy. Podobnie było z jej rówieśniczką z ulicy Narutowicza, która od dwóch lat była podopieczną ZOZ-u i Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej, podając się za zupełnie samotną. Spośród czworga przyzwoicie sytuowanych i dawno dorosłych dzieci, dwoje odmówiło alimentowania matki. Sąd Rejonowy w Lublinie, trzeba tu wyrazić uznanie, jest niezwykle wyczulony na takie sprawy. Także i w tym przypadku niemal natychmiast zasądził odpowiednie kwoty. Ta ostatnia sprawa nie ma swoich źródeł w przeszłości rolniczej starego człowieka, ale i takie się zdarzają.

Łatwo z powyższego zauważyć, że jednak nieczułe rodziny próbuje ktoś zastąpić. Placówki państwowe nie czekają na zmiękczenie serc. Zanim przeprowadzą rozmowy nakłaniające do spełnienia obowiązku, lub po bezowocnych pertraktacjach, są zmuszone skierować sprawę do sądu. Już profilaktycznie asygnują odpowiednią długo, albo krótkookresową pomoc pieniężną, rzeczową lub opiekuńczą. W tym roku tylko lubelski Zespół Opieki Zdrowotnej wydatkuje na ten cel ponad siedem milionów złotych, a przecież spore jeszcze sumy i dobra rzeczowe posiada Polski Komitet Pomocy Społecznej. Zasiłki te i renty otrzymują nie tylko staruszkowie podobni tym z przedstawionych tu skrajnych przykładów. Tamci zresztą tej kwoty nie pomniejszą na długo, otrzymują jak gdyby pożyczkę, którą po wyroku lub dobrowolnym zobowiązaniu zwrócą ich krewni i pieniądze zostaną przyznane bezzwrotnie tym, którzy naprawdę są stale lub w danej chwili bez środków do podstawowego utrzymania, bo nie mają już nikogo, a sami nie zdołali zapewnić sobie emerytury, renty lub innych środków. Najczęściej są to stare kobiety. W latach młodości nie zdobyły zawodu, nigdzie na stałe nie uzyskały pracy, a ich „wiek produkcyjny" przypadał na okres przed i po wyzwoleniu. Jest to więc spuścizna czasu minionego. Mężczyźni rzadziej są w takiej sytuacji, prawie zawsze pracowali. Rzadziej zresztą dożywają tak sędziwego wieku.

Miasto zostało podzielone na dziewięćdziesiąt dwa rejony i właśnie tam działa bezpośrednio osiemdziesięciu siedmiu opiekunów społecznych. Kierowniczką Ośrodka Opiekuna Społecznego przy Lubelskim ZOZ-ie jest Zofia Nassalska. Od niej i od dyrektor Marii Mierzwy słyszę wiele nazwisk opiekunów: w okolicach Czechowskiej i Wieniawskiej działa od lat Janina Gozdalska, na Bronowicach Hieronim Kaznowski, na Kalinowszczyźnie Kazimierz Cisłowski, na Narutowicza i najbliższych uliczkach Danuta Lipińska, na Sławińskiej Wacław Zawada, w trudnym rejonie Lubartowskiej Bronisław Walczak, na Róży Luksemburg Władysław Furmanik, w okolicach Staszica Bronisław Bazarewicz, przy Lipowej Jan Młodawski, na Sławinku Maria Wilkołek. Wszystkich nie zdołam odwiedzić. Spośród wymienianych w dalszym ciągu, wybieram: Aleksandrę Rybicką opiekującą się potrzebującymi pomocy na Osiedlu Krasińskiego, Władysława Gargasza działającego w rejonie ulicy 3 Maja, Damiana Michajłowa, który zabiega na Tatarach o sprawy ludzkie wraz z Edwardem Pszczołą, i Kazimierza Wieruckiego mającego pod swoją opieką sporą część śródmieścia. Co mi powiedzą, co pokażą w swoich rejonach?

92-letni mężczyzna na LSM-ie wciąż upomina się o powrót siostry Bożenki, która teraz pracuje w innym rejonie. Od pani Rybickiej dowiaduję się, że ta siostra PCK była i jest niezwykle lubiana przez swoich podopiecznych. Bożena Zwolakiewicz dojeżdża z pobliskiego Nałęczowa, ale czasu i pracy poświęca starym ludziom więcej, niż jest do tego zobowiązana. Moja rozmówczyni określa ją, jako osobę „o dobrym, współczującym sercu, dużej dozie przedsiębiorczości i młodzieńczego zapału". Na Osiedlu Krasińskiego opiekunka społeczna nie czuje się osamotniona w swojej pracy. Administracja i samorząd, którego przewodniczącą jest Janina Jarzyna, pomagają, pani Aleksandra określa to po swojemu: „mają dla tych spraw zawsze otwarte serca". Przede wszystkim sporządzono tam rejestr wszystkich mieszkańców (osiedle liczy ich cztery i pół tysiąca) powyżej sześćdziesięciu lat; dotarto do nich, zorientowano się w sytuacji materialnej i rodzinnej. Najczęściej te setki starych ludzi mają zabezpieczony byt, bo przepracowali cały swój wiek zawodowy, a ponadto mają potomstwo, które właściwie pojmuje ich potrzeby, szczególnie te materialne. Wielu czuje się jednak niezwykle samotnie, tylko klub seniora raz w tygodniu tym, którzy tego pragną, umożliwia życie towarzyskie. Natomiast dwadzieścia trzy osoby potrzebują stałej lub okresowej pomocy. Przykładowo przyjrzyjmy się ich wiekowi: cztery liczą ponad sześćdziesiąt lat, trzynaście ponad siedemdziesiąt, cztery przekroczyły osiemdziesiąt, a dwie dziewięćdziesiąt lat.

Kazimierz Wierucki mówi mi o satysfakcji, jaką czerpie ze swojej pracy społecznej. Funkcji ma wiele, a równocześnie zawodowo pracuje w FSC. Najgorzej, gdy poczuje w sobie chwile bezsilności. Pragnie pomóc, a nie potrafi. Jednym z warunków przydzielenia pomocy jest wywiad opiekuna w środowisku społecznym starego człowieka, także w jego mieszkaniu. Przy jednej z ulic śródmieścia 70-letnia kobieta konsekwentnie nie pozwalała mu wejść do izby, a rozmowa na korytarzu lub przez drzwi nie orientowała w rozmiarach potrzebnej pomocy. Kiedy w końcu to raz się udało, okazało się, że od lat maniacko zbierała wszystkie śmiecie i odpadki w kartonikach; miała ich wielką kolekcję. W swej pracy opiekunowie spotykają ludzi ze zmianami miażdżycowymi w mózgu, trudno o kontakt myślowy z nimi, zrozumienie ich potrzeb pozamaterialnych. Nieprzyjemne sytuacje jednak nie zrażają tych społeczników, rzadko niechają podjętej działalności. Wierucki twierdzi, że potrzeba takiej obecności wśród ludzi tkwi w człowieku, a w miarę czasu narasta. Władysław Gargasz mówi o wewnętrznej konieczności. Damian Michajłow funkcję tę pełni już trzynaście lat, ale w innych formach opieki działał od czasów powstawania Tatar w dzisiejszym kształcie. „Wiedziałem, czym jest bieda, jak kręto kształtują się ludzkie losy. Jestem także kuratorem dla dorosłych, a z nimi nieraz niełatwo. Tak, były czasem myśli, żeby to rzucić, ale tylko przez jakąś chwilę, bo wiedziałem, że bezradni niekiedy ludzie na moją wizytę czekają, że jestem im potrzebny". Pani Rybicka dopowiada: „Stary człowiek jest bardzo samotny, nawet gdy posiada rodzinę. Nikt nie ma dla niego dosyć czasu. Obok spraw materialnych, chorób, czy braku sprawności występuje w dużym mieście coraz częściej jeszcze jeden, chyba coraz poważniejszy problem, właśnie ten — osamotnienie starego człowieka. Brak dla niego czasu, brak ciepła, brak serca. Trzeba wreszcie przerwać to odosobnienie wśród ludzi, znieść pustkę, milczenie, bo to prowadzi do załamań, nieuchronnych depresji, stanów lęku i zagrożenia. I w tym my — opiekunowie społeczni, siostry PCK, działacze Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej — staramy się być użyteczni".

W ogródkach działkowych na Sławinku Polski Komitet Pomocy Społecznej zorganizował minionego lata kilka turnusów wczasowych dla rencistów i emerytów. Oto na zdjęciu grupa wczasowiczów po spotkaniu autorskim literatki i dziennikarki Mirosławy Knorr

Fot. K. Wierucki

— Osoby chore o ograniczonej sprawności fizycznej, nie posiadające rodziny, są czasowo lub trwale, niekiedy latami, otoczone opieką sióstr PCK — objaśnia mnie pracowniczka ZW PCK w Lublinie, Bogumiła Bury. — W stosunku do potrzeb, kobiet, które poświęcają się tej sprawie, jest w Polsce o wiele za mało. W województwie lubelskim pracuje 370, a w samym Lublinie tylko 170. Krótkotrwałe kursy przysparzają niewiele sióstr. Jedna z nich, Helena Pietras, pracy tej poświęca się już od wielu lat. Mówi mi: „Bywa, że tymi samymi chorymi ludźmi opiekuję się przez wiele lat, jestem dla nich więcej niż członkiem rodziny. Toaleta, zakupy, upranie, karmienie, porządek w mieszkaniu, podawanie leków — takie czynności wykonuję. Trzeba być nadto po trosze i psychologiem i psychiatrą, a najbardziej przyjacielem. Bywa, że właśnie na naszych rękach dokonują życia. Czasem bardziej od bezpośredniej pomocy ludziom tym potrzebne są rozmowy, stanowimy dla nich jedyny najczęściej kontakt ze światem zewnętrznym".

Dawno już dojrzał czas, aby w Lublinie powstały w kilku punktach domy dziennego pobytu. ZOS i spółdzielczość mieszkaniowa w Puławach w roku ubiegłym się na to zdobyły, miasto nad Bystrzycą — nie, chociaż Marian i Dorota Szafniccy zapisali na ten cel swój dom przy ul. Grottgera, a szóstego września minęło dziesięć lat od chwili, gdy w tej sprawie MRN przyjęła odpowiednią uchwałę. I w takim domu, podobnie jak w klubach seniora, złagodniałaby samotność starych ludzi, oddaliłoby się zgorzknienie, żale, wróciłaby im pogoda ducha, możliwość kontaktu z rówieśnikami, otwarłaby się nawet możliwość społecznego działania.

Uczyńmy więcej niż nam się wydaje, że możemy. Wszak i my będziemy starzy.

Tadeusz Jasiński

Kamena str. 7

W PARYŻU ROKU 1939

Z Ireną Lorentowicz rozmawia Mirosław Derecki

MIROSŁAW DERECKI: — Kiedy Europa wchodziła w pełen napięcia, dramatyczny okres „przed burzą", mieszkała Pani już od kilku lat w Paryżu, wchodząc w skład polskiej kolonii artystycznej. Obracała się Pani w kręgach intelektualnych francuskich i w polskich sferach dyplomatycznych. Jaka atmosfera panowała w tych środowiskach wiosną i latem 1939 r.? Jak oceniano z paryskiej perspektywy groźbę nadciągającej wojny?

IRENA LORENTOWICZ: — Od szeregu miesięcy w Paryżu panowała atmosfera niepokoju i zdenerwowania. Nikt nie wierzył, że wojny będzie można uniknąć. Już od wiosny miasto było zaciemniane, robiono próbne alarmy. W ciągu lata stale dochodziły do mojej pracowni malarskiej na Montparnasse odgłosy podziemnego kucia. Budowano schrony przeciwlotnicze. Francuzi bali się wojny. Byli nie tylko pełni niepokoju, ale co gorsze — chęci pójścia na ustępstwa.

Do Paryża przyjechałam jesienią 1935 r. żeby przygotować scenografię do „Harnasiów" Karola Szymanowskiego w Operze Paryskiej. Choreografia była dziełem Sergiusza Lifara, a inscenizacja powstawała pod przemożnym, choć nieoficjalnym wpływem Leona Schillera. Zaprzyjaźniłam się w tamtym okresie z Janem Lechoniem, ówczesnym attaché kulturalnym ambasady polskiej w Paryżu. To on pierwszy poznawał mnie z miastem nad Sekwaną, z jego osobliwościami i z jego środowiskiem artystycznym. Często bywałam w naszej ambasadzie. Jednym z pracowników był Zygmunt Klingsland, osiadły wraz z żoną Stefanią od szeregu lat w Paryżu. Pełnił funkcję doradcy polityczno-kulturalnego. Przez salon Klingslandów w pobliżu Étoile przewijało się mnóstwo osób ze świata artystycznego: Jules Romain, André Maurois, Francis Carco, André Therive. Bywali tam również znany poeta i krytyk sztuki André Salmon z żoną, Chagall, Marcoussis. Z Salmonami bardzo się później zaprzyjaźniłam. Podczas jednej z artystycznych wypraw po Paryżu razem z Lechoniem i malarzem Romanem Kramsztykiem, odwiedziliśmy Olgę Boznańską. To chyba Lechoń poznał mnie z jedną z najciekawszych postaci Paryża, muzą secesji, Misią Sert. No a poza tym żyło się stale w kręgu polskich artystów przyjeżdżających do Paryża albo tutaj osiadłych. Spotykałam się z Augustem Zamoyskim, Piotrem Potworowskim, Marią Kuncewiczową, Arturem Rubinsteinem...

M. DERECKI: — Premiera „Harnasiów" w kwietniu 1936 r. stała się wielkim sukcesem artystycznym; także i Pani sukcesem scenograficznym.

I. LORENTOWICZ: — Tak. I właśnie po premierze „Harnasiów" otrzymałam stypendium rządu francuskiego na studia nad teatrem średniowiecznym u profesora Gustave Cohena na Sorbonie. Należałam do tzw. „Theofiliens"; przygotowywaliśmy przedstawienia na Parvis Nôtre Dame na podwyższeniu przed słynną katedrą, gdzie już w średniowieczu odgrywano misteria.

Mieszkałam na czwartym piętrze domu przy spokojnej ulicy Froidevaux przylegającej do cmentarza Montparnasse. Dużo malowałam, robiłam też scenografię. W 1937 r. zaprojektowałam dekoracje dla występującego w Paryżu Baletu Polskiego pod kierownictwem Bronisławy Niżyńskiej, w Operze Komicznej szedł „Król mimo woli" Chabviera w mojej scenografii. W marcu 1938 r. została otwarta w Galerie d'Elysée moja wystawa malarska; wydano też katalog ze wstępem pióra André Salmona. Byłam więc już na dobre wrośnięta w Paryż zarówno pod względem artystycznym jak i towarzyskim, kiedy zaczęły zewsząd, również w listach z Polski, nadciągać złe wieści o zbliżającej się katastrofie politycznej.

M. DERECKI: — Bywała pani często w polskiej ambasadzie, znała Pani osobiście ambasadora Łukasiewicza. Jakie wrażenia wynosiła Pani z przyjęć i odwiedzin w naszej placówce dyplomatycznej?

I. LORENTOWICZ: — Na pozór wszystko odbywało się normalnie. Łukasiewicz starał się być miły i czarujący. Ale było coś w atmosferze ambasady, co nie pozwalało nam wierzyć, że wojna się odwlecze. Oczywiście nie mieliśmy pojęcia jakie to rozmowy odbywały się właśnie w ambasadzie w okresie „przed burzą", bo to były rzeczy ściśle tajne. Natomiast chwilami zaskakiwał nas optymizm, czy też może brak rozeznania w następujących szybko wypadkach — płynące do nas w listach z kraju.

M. DERECKI: — Stałą więź z krajem utrzymywała Pani przede wszystkim dzięki regularnej korespondencji z ojcem, Janem Lorentowiczem, znanym krytykiem literackim i doskonałym znawcą teatru. W jego listach musiała odbijać się opinia polskich sfer artystycznych i intelektualnych na temat nadciągającej wojny...

I. LORENTOWICZ: — Oczywiście. Na przykład w jednym z listów z lipca 1939 r., ojciec dużo pisał o swoim wyjeździe do Wilna, gdzie udał się jako delegat Polskiej Akademii Literatury, zachwycał się pięknem jeziora Narocz, które wtedy po raz pierwszy oglądał, jednym słowem — wydawał się całkowicie oddychać atmosferą wakacyjną. Pisał, że rozumie mój niepokój co do wojny, ale uważa, że jest on przedwczesny. *My tu wszyscy żyjemy w przekonaniu* — stwierdzał — *że sprawa o Gdańsk zwlecze się do przyszłego roku, bo Niemcy jeszcze nie są gotowi (podobno) do wojny.* Może starał się mnie w ten sposób uspokoić? Dodać otuchy? W każdym razie wiem na pewno, że szykował się do wyjazdu wraz z całą Polską Akademią Literatury na uroczystości ku czci Słowackiego w Krzemieńcu. Wyjazd miał nastąpić 3 września i ojciec, wybierając się na razie do Ciechocinka, postanowił przygotowywać tam przemówienie, które miał wygłosić w Krzemieńcu.

M. DERECKI: — Pani też zdążyła jeszcze wyjechać na swoje ostatnie, przedwojenne wakacje...

I. LORENTOWICZ: — Sierpniowe lato spędzałam w Bretanii, w miejscowości Pouldu, pełnej tradycji malarskiej. Tutaj i w niedalekim Doëlan mieszkali Gauguin, Tadeusz Makowski oraz Władysław Ślewiński. W jednym z domów w Doëlan odkryłam obrazy Makowskiego, Ślewińskiego i piękny szkic Stanisława Wyspiańskiego. Tamtego lata nie było jednak w Pouldu beztroskiej, artystycznej atmosfery. Wioska była opustoszała, Francuzi nie przyjechali na wakacje, na plener, bo bali się, że może ich na prowincji zaskoczyć wojna. Pisałam rozpaczliwe listy do ojca. W końcu nie wytrzymałam i

Niepokorny

JANUSZ Basiak, rodem z Lubelszczyzny, zaczął w życiu skromnie. Wyedukował się w zasadniczej szkole energetycznej i, powiada dziś, przystąpił do budowy FSC w Lublinie oraz cementowni w Rejowcu — jako elektromonter.

Niebawem jednak stwierdził, że zdrowiej dlań będzie w lesie, a i krewnych miał leśników, więc ukończył technikum leśne w Białowieży, następnie zaś, bo tak już go to kształcenie pochłonęło, studia leśne SGGW w Warszawie (1963 rok).

W trakcie studiów został stypendystą naukowym i zanosiło się, iż w przyszłości na gruncie stołecznym będzie pisywał naukowe wypracowania o lasach państwowych oraz chłopskich. Przyjechawszy jednak do Janowa Lubelskiego na staż, objął wkrótce posadę nadleśniczego.

I tym sposobem wsiąkł, ponieważ zafascynował go teren, który może nie zdawał się awansem, ale codzienną, absorbującą koniecznością i realnością, aczkolwiek nie zawsze wesołą.

Janusz Basiak zamieszkał wtedy z rodziną w pokoju z kuchnią i metodycznie oddawał się obowiązkom nadleśniczego, omnibusa od: hodowli szkółkarskiej drzewostanu, zalesień, ochrony lasów przed szkodnikami, cięć pielęgnacyjnych, zrębów zupełnych, budowy dróg, melioracji... — słowem całej gospodarki leśnej na określonym terenie.

I taka rozproszona robota nie widziała się Basiakowi całkiem w porządku, ani racjonalna, ani skuteczna. *Występowałem koncepcyjnie na drodze służbowej o powołanie placówki, gdzie można by pokazać inną organizację pracy służb leśnych, inne metody gospodarki leśnej* — powiada.

Cokolwiek zaczął, temu udzielał się gorliwie, z wewnętrznej potrzeby posuwania rzeczywistości do przodu, choć czasem wygodniej byłoby poprzestać na zastanym.

Obecnie dyrektor Basiak mieszka w pięciu pokojach z kuchnią (100 metrów kwadratowych) z żoną i trójką dzieci na peryferiach Janowa Lubelskiego. O Januszu Basiaku usłyszałem niedawno opinię, że jest niepokornym entuzjastą i dlatego dziś rządzi na kilkudziesięciu tysiącach hektarów lasów doświadczalnych w Janowie, a nie na kilkuset tysiącach w którymś z okręgowych zarządów lasów państwowych z siedzibą w dużym mieście.

Użytkowanie rębne naszych lasów zgodne jest z planami gospodarczymi, ale przekracza ustalenia sporządzane dla racjonalizacji praktyki gospodarczej w lasach. Stąd wypływa co najmniej wniosek, że albo ustalenia są zbyt ostrożne, albo plany nie zawsze racjonalne.

Dyrektor Basiak skłonny jest przychylać się do drugiego członu powyższej alternatywy, choćby to było niemodne, w związku z czym wydaje się zadowolony z posady, albowiem produkcja w lasach doświadczalnych opiera się na jakiej takiej zgodności wspomnianych planów ze wspomnianymi ustaleniami. I w tej to eksperymentalnej, jak dotąd, sytuacji Basiak czuje się normalnie, czyli pierwszorzędnie.

Placówka w Janowie, powołana z początkiem 1974 roku, a podlegająca resortowemu Instytutowi Badawczemu Leśnictwa, zajmuje się sprawami, które mają określać bliższą i dalszą przyszłość naszej gospodarki leśnej.

„Niepokorny entuzjasta" wcale nie przypomina postaci ćmiącego cybuch, brodatego leśnika-odludka, romantycznego samotnika w znoszonym zielonym mundurze. Jest elegancki, gładko wygolony (i niepalący); dynamiczny mężczyzna, którego interesuje myślenie realistyczne i z racjonalną perspektywą. I który nie gniewa się na rzeczywistość, ale potrafi dochodzić i przekonywać o swoich racjach.

Ludzi ciągnie do miasta i większych pieniędzy — powiada i dlatego proponuje, żeby zacząć rozmowę od osiągnięć socjalnych, przedsięwziętych dla stabilizacji kadry w lasach doświadczalnych.

Zdzisław Zaprzaluk, młody absolwent studiów leśnych poznańskiej WSR, a w lasach doświadczalnych już kierownik działu produkcji, będzie mi wszystkie te osiągnięcia pokazywał. One głównie skłoniły go do osiedlenia się tutaj. Ale powiada, połowa jego kolegów z roku, stając do pracy, zmieniła branżę. Szukali lepszych warunków, niż im proponowano. A teraz możemy już iść oglądać.

Myślałem, że zobaczę jakieś rewelacje, kryte baseny, sauny, skocznie narciarskie. A tymczasem ujrzałem parę bloków mieszkalnych, przedszkole, hotel, szkołę zasadniczą z internatem, przychodnię lekarską, stołówkę, sklepik. Nie powiem — ładnie drzewem wnętrza wykończone (dziś już szewc bez butów nie chadza), ale i ściany marglujące tu i ówdzie.

Dyrektor Basiak cierpliwie mnie poucza, że to, co wydaje się normalne — nie zawsze w lesie takim jest. Ponieważ resort nie uwzględniony w centralnym rozdzielniku materiałów budowlanych, więc janowscy leśnicy posługiwali się „metodą uszczelki", a raczej „metodą cegły". Posiadają bowiem ośrodek remontowo-budowlany z cegielnią, i wszystkie inwestycje socjalne zostały wykonane sposobem gospodarczym, zaś produkcja cegielni służyła również do zdobywania innych materiałów drogą wymiany.

I tutaj zostałem zobligowany do napisania, że dziś pracownikowi leśnemu nie wystarcza świeże powietrze za całe udogodnienie socjalno-bytowe, lecz domaga się on — słusznie przecież — świadczeń podobnych jak w innych zakładach. I jeśli na przykład robotnika nie przywiezie się z miejsca zamieszkania na stanowisko pracy, to on nie będzie w ogóle pracował. Jeśli nie otrzyma zupy regeneracyjnej w okresie jesienno-zimowym, będzie pracował na pół gazu. Dlatego w gospodarstwie łąkowo-rolnym lasów doświadczalnych hoduje się świnie i bukaty na zaopatrzenie stołówki, która poza zwykłymi obiadami wydaje blisko 700 posiłków dziennie dla wszystkich pracujących w terenie.

I w ten oto sposób rzeczy normalne funkcjonują jako eksperymentalne, choć do prawdziwego eksperymentu jeszcze daleko. A dyrektor Basiak, leśnik-realista, żeby pozyskać ludzi dla lasu — musiał wpierw przemienić się w budowlańca i rolnika. *Skoro inaczej nie można w naszych wspaniałych lasach...* — powiada z uśmiechem wybitnie łagodnym.

Ze swych doświadczeń nadleśniczego dyrektor wyniósł przekonanie, iż nadleśnictwa i leśnictwa, spełniające rolę omnibusów w obecnym OZLP-owskim układzie, prowadzą do nieopłacalnej dekoncentracji i dublowania wysiłków produkcyjnych, choćby prac szkół-

w drugiej połowie sierpnia wróciłam do Paryża. Zastałam atmosferę coraz bardziej wzbierającego niepokoju, a wśród listów z Polski czekał na mnie także list z Kazimierza, od Marii Kuncewiczowej. Pisała między innymi: *Piękne lato kończy się. Dzieci krzyczą w ogrodzie wesoło, zrywają ostatnie gruszki. Może naprawdę ostatnie, może już zbliża się wojna.*

Z Kuncewiczową poznałyśmy się w 1927 r. w Kazimierzu. Byłam na plenerze malarskim prowadzonym przez Tadeusza Pruszkowskiego i to właśnie ja oprowadzałam Kuncewiczów po Kazimierzu, do którego przyjechali na wycieczkę. Wywiązała się z tego wieloletnia przyjaźń, która przetrwała do dzisiaj. Kuncewiczowie kupili potem w Kazimierzu domek i kawał ziemi, i z tego „osiedlenia" narodziły się m. in. „Dwa księżyce". Przed wojną postawili na swojej działce wygodną willę zaprojektowaną przez Karola Sicińskiego. Ostatni raz przed wojną widziałam Marię Kucewiczową w 1938 r., kiedy przyjechała do Paryża. Chyba nawet zatrzymała się w mojej pracowni. Do następnego spotkania doszło pod koniec października 1939 r. Byliśmy już wtedy wygnańcami z własnego kraju, emigracją wojenną.

M. DERECKI: — Jak przeżyła Pani wiadomość o wybuchu wojny?

I. LORENTOWICZ: To było w mieszkaniu Klingslandów. W ostatnich dniach sierpnia zbierało się tam ścisłe grono znajomych przy radioodbiorniku. Dyskutowaliśmy po całych nocach. Lechoń chodził roztrzęsiony, milczący. Pierwszego września ugodził w nas głos spikera oznajmiający, że o piątej rano Niemcy napadły na Polskę. Trudno opisać nasze ówczesne odczucia. Tak samo jak niełatwo wyodrębnić i uporządkować zdarzenia z owego okresu, daty i fakty. W tym zamęcie szalonym jaki później nastąpił, w tej rozpaczy, wszystko się jakby ze sobą łączyło, zrastało. Pierwszego września doszedł do mnie list od ojca wysłany przed pięcioma dniami z Ciechocinka: *(...) śpieszę Ci donieść, że wczoraj nastąpiło odprężenie pewne, tak iż jest nadzieja jeżeli nie na pokój, to na przewleczenie sprawy. (...) Dziś są wiadomości o propozycjach Hitlera przesłanych Chamberlainowi. Zobaczymy, co z tego wyniknie. (...).*

Potem przyszły dalsze noce spędzane u Klingslandów przy aparacie radiowym, słuchanie wiadomości z Warszawy, wczytywanie się w paryskie gazety, oficjalny komunikat o internowaniu polskiego rządu w Rumunii, ostatnie radiowe przemówienie prezydenta Starzyńskiego i wreszcie to nabożeństwo w polskim kościele w Paryżu, podczas którego młodzi ludzie o wojskowej postawie, dopiero co przybyli z Polski, śpiewali płacząc.

M. DERECKI: — 24 września przyjechał do Paryża Władysław Sikorski zatrzymując się w Hôtel du Danube, gdzie zazwyczaj mieszkał podczas swoich przyjazdów do Francji. 27 września pojawił się w ambasadzie polskiej — Juliusz Łukasiewicz powierzył mu dowództwo sił polskich we Francji, a 30 września Sikorski tworzył już jako premier nowy rząd...

I. LORENTOWICZ: — Właśnie w tych dniach zostałam zaproszona do hotelu du Danube na specjalny obiad. Hôtel du Danube mieścił się przy jednej z lewobrzeżnych uliczek Sekwany odchodzących od rue Bonaparte. Samo centrum Paryża, część miasta rozpościerająca się między Sekwaną a Boulevard Saint Germain. Cicho tu i spokojnie, domy są niewysokie, dwu- lub trzypiętrowe. Właśnie w jednym z takich domów, drugorzędnym hotelu, zawiązywał się pierwszy polski rząd emigracyjny. Pamiętam dobrze ów obiad, podczas którego dyskutowano nad rozdziałem stanowisk, urzędów i ministerstw.

Wtedy właśnie profesor Stanisław Stroński, wicepremier a zarazem minister informacji, zaproponował mi pracę w organizującym się właśnie Biurze Informacji i Dokumentacji. Stroński znał moje korespondencje z Paryża zamieszczane w ciągu ostatnich lat w prasie warszawskiej, znał mojego ojca, no a poza tym wiedział, że będąc zadomowiona w Paryżu i znając dobrze język, mogę okazać się bardzo przydatna.

M. DERECKI: — Z artystki przekształciła się więc Pani nagle w urzędniczkę?

I. LORENTOWICZ: — Częściowo — tak. Byłam czymś pośrednim między sekretarką Strońskiego, spełniając również polecenia Mariana Seydy i Stanisława Strzetelskiego, a... recepcjonistką i informatorką „co, gdzie i jak" w Paryżu. No a poza tym byłam jednym z łączników pomiędzy sferami rządowymi a tutejszym środowiskiem artystycznym i intelektualnym. Trzeba było też załatwiać sprawy polskiego środowiska artystycznego, które powiększało się coraz bardziej wraz z napływem kolejnych uciekinierów z Polski. Antoni Słonimski z żoną przyjechali do Paryża już 21 września, zaraz po nich Tuwimowie, Wierzyńscy i inni. Korzystali początkowo z mieszkań i pomocy finansowej znajomych, wkrótce otrzymali od rządu polskiego stypendia. Część z nich zaczęła pracować w różnych instytucjach kulturalnych. Na przykład Słonimski związał się z Polskim Radio. Uchodźcy spotykali się zazwyczaj w Café de la Régence albo w Café de la Paix. Właśnie na tarasie tej ostatniej kawiarni uświadomiłam sobie nagle z całą jasnością, patrząc na polskich „uciekinierów", że i ja już należę do wojennej emigracji.

W czasie tych spotkań kawiarnianych zaczęto mówić o założeniu pisma literackiego, o wystawach malarskich, o potrzebie skompletowania polskiego zespołu teatralnego spośród przybyłych aktorów.

M. DERECKI: — Tak więc, zaczynało się dość szybko tworzyć specyficzne, uchodźcze życie kulturalno-artystyczne?

I. LORENTOWICZ: — Z ramienia Biura Informacji i Dokumentacji urządziliśmy na Polach Elizejskich wielką wystawę ukazującą zniszczenia wojenne w Polsce oraz okrucieństwa niemieckie w podbitym kraju. Jako materiał posłużyły nam zdjęcia, informacje i sprawozdania przerzucane z Polski. Powstała grupa teatralna pod dyrekcją Ziembińskiego. Wystawiono „Przepióreczkę", robiłam do tego scenografię. Główną rolę kobiecą zagrała Irena Eichlerówna, a reżyserował — jeżeli dobrze pamiętam — Antoni Cwojdziński.

Niestety, nie byłam na poranku artystycznym poświęconym Polsce, zorganizowanym przez zespół Comédie Francaise gdzieś w połowie listopada. Recytowano tam polskie utwory, m. in. fragment „Nocy listopadowej" Wyspiańskiego, grano Chopina, ale najbardziej wstrząsające wrażenie sprawił odczytany na zakończenie „Dziennik lotnika — obrońcy Warszawy". Była to proza napisana przez Marię Kuncewiczową, która właśnie niedawno dotarła wraz z mężem do Paryża i początkowo zatrzymała się w mojej pracowni na rue Froidevaux. „Dziennik lotnika" to pierwszy utwór napisany i opublikowany przez Kuncewiczową we Francji. Oparty był na wspomnieniach kapitana Iżyckiego, lotnika, który ostatnim nadającym się do użycia samolotem, wyleciał ze specjalnym zadaniem z oblężonej Warszawy, tuż przed kapitulacją miasta.

M. DERECKI: — Jak wiadomo rząd polski przeniósł się w ostatnich miesiącach 1939 r. do Angers.

I. LORENTOWICZ: — Niektóre jednak ministerstwa i urzędy pozostały jeszcze długi czas w Paryżu. Wojsko nadal zajmowało Hôtel Regina a nasze Biuro Informacji i Dokumentacji przeniosło się tylko na inną ulicę: rue Bassano.

M. DERECKI: — A tymczasem trwała „drôle de guerre"? Dziwna wojna? Wojna straconych okazji?

I. LORENTOWICZ: — To nawet czasem w pewnych środowiskach wyglądało na zabawę w wojnę. Przypominam sobie, że żona André Salmona podejmowała gości kolacjami w łazience bez okna, tłumacząc, że to ze względu na obowiązek zaciemniania. Colette nigdzie nie ruszała się bez maski przeciwgazowej...

W Angers znalazłam się stosunkowo późno, wezwana pilnym poleceniem Strońskiego. Ale wkrótce i ja zamieniłam się w uciekinierkę. Francja padała pod naporem niemieckich wojsk. Pociągiem wiozącym pracowników rządowych instytucji — jechali tym pociągiem również Kuncewiczowie — dotarłam do Lourdes. Stąd miałam przedzierać się przez Pireneje do Hiszpanii i Portugalii, a następnie płynąć do Stanów Zjednoczonych, gdzie przemieszkałam dwadzieścia lat.

M. DERECKI: — Po wojnie zjawili się w Stanach również Maria i Jerzy Kuncewiczowie...

I. LORENTOWICZ: — Tak. A później Kuncewiczowa pierwsza, w 1958 r. wyruszyła do Polski i do Kazimierza. Ja odwiedziłam kraj w rok później. Wtedy postanowiłam nieodwołalnie, że wracam. Już wcześniej zachęcał mnie do tego Lechoń.

Arnold Szyfman, ostatni z żyjących przyjaciół ojca, dał mi samochód. Pojechałam do Kazimierza. To było inne miasto!

Ile razy wejdę na kazimierski Rynek to zaraz serce mi się kraje jak sobie przypomnę ten cały świat, który tam się kiedyś kłębił, którego już nie ma i nie będzie...

M. DERECKI: — Jednak przyjeżdża Pani stale do tego nowego Kazimierza...

I. LORENTOWICZ: — Bo wróciłam z Ameryki nie tylko do Kazimierza mojej młodości. Wróciłam do wszystkiego.

realista

Maciej Podgórski

karskich, wykonywanych w każdym nadleśnictwie.

Dlatego w janowskiej placówce zdecydowano się na dwustopniowy eksperyment organizacyjny z prawdziwego zdarzenia. W niektórych nadleśnictwach mianowicie częściowo zlikwidowano leśnictwa, specjalizując funkcje leśniczych, na przykład leśniczy-technolog użytkowania lasu, leśniczy-technolog zagospodarowania lasu, leśniczy-technolog zbytu i spedycji. To jedna sprawa.

Druga — zlikwidowano część nadleśnictw, tworząc na użytek całych lasów doświadczalnych specjalistyczne gospodarstwa, za które odpowiadają nadleśniczowie-kierownicy, na przykład gospodarstwo łowieckie, gdzie między innymi prowadzi się przyzagrodową hodowlę... dzika (z myślą, pewno, o efektach także dewizowych), gospodarstwo nasienno-szkółkarskie, samochodowo-sprzętowe.

Sądzę, że jest to nowoczesna struktura organizacyjna, mogąca się stać przyszłością poszczególnych OZLP, aczkolwiek ludzie początkowo będą rozmaicie przyjmować sytuację, że nie nazywają się już panami leśniczymi, lecz technologami, nie panami nadleśniczymi, ale kierownikami. I że blednie soczysty obrazek dzielnego leśnika z flintą, żonką, pieczonką, golonką, nie zawsze sfornego, choć na ogół śwarnego.

W każdym razie efektem eksperymentów organizacyjnych w lasach janowskich jest przeszło pięćdziesięcioprocentowa oszczędność zatrudnienia personelu inżynieryjno-technicznego, czym dyrektor cieszy się głośno, i nieznaczny wzrost personelu urzędniczego, o czym dyrektor mówi już nieco ciszej.

O tym, iż w janowskiej placówce (właśnie w gospodarstwie samochodowo-sprzętowym) wdraża się do praktyki leśnej najnowszy sprzęt zmechanizowany, krajowy i zagraniczny, pisałem w poprzednim numerze „Kameny". Na okładce czasopisma „Las Polski" (nr 13—14 br.) widnieje fotografia traktora z rejestracją janowską, ciągnącego polskiej produkcji sadzarkę, czyli urządzenie do zalesiania. Maszynę obsługują dwaj pracownicy lasów doświadczalnych, ubrani w czyściutkie kombinezony i kapelusze. Wykonują oni robotę, do której najtrudniej było znaleźć chętnych, ponieważ robota czarna, angażująca najczęściej brygady staruszków lub społeczny wysiłek dzieci szkolnych.

Wobec odpływu niewykwalifikowanej siły roboczej z gospodarki leśnej, intensywna mechanizacja prac leśnych wydaje się dyrektorowi Basiakowi koniecznością, nie luksusem, i właśnie w Janowie ugruntowuje się takie przekonanie. Diabli jednak biorą zdrowy rozsądek, gdy przy zakupie sprawdzonej już ładowarki „Ford" zapomina się o zakupie specjalnych olejów i smarów, i polscy inżynierowie muszą biedzić się nad znalezieniem tymczasowych krajowych mieszanin.

Nieco więcej uwagi trzeba poświęcić gospodarstwu nasienno-szkółkarskiemu w janowskich lasach, gdzie przeprowadza się doświadczenia nad hodowlą borówki amerykańskiej, czy cytrynnika i aronii, krzewów owocodajnych o dużej zawartości witamin.

Ale najwięcej sobie chwali dyrektor Basiak doświadczenia hodowlane z daglezją, drzewem północno-amerykańskim, nadzwyczaj lasotwórczym. Gdy sosna stuletnia daje z jednego hektara do 280 metrów sześciennych drewna, to daglezja analogicznie — do 1000!

Potem we wspomnianym numerze „Lasu Polskiego" wyczytałem, ileż to rzeczy robią Amerykanie z drewna daglezjowego: domy mieszkalne, meble, parkiety, okleiny, sklejkę, poręcze mostowe, maszty żaglowców, podkłady kolejowe!... *W USA stosuje się szeroko drewno daglezjowe także do produkcji rur wodociągowych. Utrudniają one osadzanie się wapna i żelaza, wskutek czego długo zachowują wyjściową średnicę (rury żelazne i stalowe nie mają tej cennej właściwości).*

Fot. L. Kącki

Badania nad przyjęciem się daglezji w naszym klimacie posiadają więc kapitalne znaczenie dla dalszej przyszłości gospodarki leśnej i przemysłu drzewnego. Istnieje też już spolszczona nazwa daglezji — jedlica.

Organizacja, mechanizacja, koncentracja, intensyfikacja produkcji — o tym przeważnie rozmawiałem z dyrektorem. Lecz słowo-klucz Janusza Basiaka to k o o r d y n a c j a. A drugie — i n t e g r a c j a.

Jedynie kompleksowe traktowanie gospodarki leśnej i przemysłu drzewnego, funkcji produkcyjnych i rekreacyjno-turystycznych lasu dzisiaj się liczy — usłyszałem. Tymczasem — najprostszy przykład — wskutek innych metod pomiaru drewna w tartaku, a innych w lesie, leśnicy tracą około pięciu procent na masie pozyskanego drewna. Tymczasem — drugi przykład — nadleśnictwa i zakłady przetwórcze nie posiadają wspólnych składnic manipulacyjno-spedycyjnych. I tak dalej, na razie.

W janowskich lasach doświadczalnych wyrasta nowoczesny leśnik-menażer, który potrafi liczyć i przewidywać. Więcej takich ludzi mogłoby przekształcić korzystnie polskie leśnictwo.

Nadzieje w jesieni

Maria Bechczyc-Rudnicka

Od pewnego czasu zaczęły w naszej krytyce teatralnej nabierać wziętości dwa pytania: primo — czy aby nie zbytnio rozmnożyły się w Polsce sympozja, na których serwuje się ludziom wszelkie gatunki teatru i czy nie należałoby ich wobec tego trochę przetrzebić, oraz secundo — skoro już owe mnogie festyny powstały, to jaki powinny mieć profil w poszczególnych miastach? Powyższa „troska" znalazła bodaj najjaskrawszy wyraz przed kilku miesiącami kiedy toruński Teatr im. W. Horzycy, przy okazji swego dorocznego Festiwalu Teatrów Polski Północnej, uświęconego już osiemnastoletnią tradycją, wydał aż specjalną reprezentacyjną broszurę poruszającą wymienione tu kwestie.

Powiem otwarcie — opublikowanie w druku toruńskiego zestawu wypowiedzi wygląda mi na wynik zapomnienia o zasadzie, że adresatem głównym konfrontacji teatralnych powinna być publiczność miasta, w którym się one odbywają. Nie zaś przypadkowy zespół przyjezdnych krytyków, bardziej zainteresowanych w zaprogramowaniu różnych profilów, wskutek odbytych już indywidualnie wyjazdów na premiery wybitnych spektakli.

Wielogłosowy nacisk na pomienione kwestie wydaje się nie tylko jałowy, ale poniekąd i niebezpieczny, albowiem mógłby sugerować dość ryzykowne odgórne segregacje tudzież programowe usztywnienia. Tymczasem niewątpliwą jest rzeczą, że przy obecnym niedoborze kadr aktorskich, nie pozwalającym na rychłe tworzenie nowych teatrów zawodowych, liczne festiwale o umiejętnym zestawie celnych przedstawień sztuk różnorodnych mogą stać się istnym dobrodziejstwem dla miast „monoteatralnych", a zwłaszcza dla nowo kreowanych stolic wojewódzkich. Wychodząc właśnie z takiego założenia chcę omówić wrześniowe VIII Jeleniogórskie Spotkania Teatralne — jako wzorowy przykład corocznej imprezy świetnie służącej potrzebom kulturalnym miasta w oparciu o własne inicjatywy Teatru im. C. Norwida pod kierunkiem dyrektora Aliny Obidniak, wicedyrektora Henryka Szoki i kierownika literackiego Janusza Deglera.

Otóż teatr jeleniogórski, który zrealizował w sezonie 1976/77 cztery sztuki na dużej scenie i trzy na scenie studyjnej, organizując swe wrześniowe spotkania dał mieszkańcom Jeleniej Góry możność obejrzenia ponadto — dziewięciu interesujących, różnorodnych pozycji z Warszawy, Krakowa, Wrocławia, Opola i nawet zagranicy — z Węgier. Oczywiście do programu festiwalowego weszła również własna pozycja dramatyczna, no i na dodatek — jakże atrakcyjny! — własny kabaret.

Chyba z powodu nieco zaskakującego oficjalnego podziału nagród na wrocławskim XVIII Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych, niektórzy koledzy krytycy zaczęli wyznaczać według swego widzimisię miejsca zajęte w konkurencji przez poszczególne spektakle, tedy ze swej strony oddam hołd tej modzie, ograniczając go wszelako do przyznania zdecydowanie pierwszego miejsca „Kartotece" Różewicza wyreżyserowanej przez Tadeusza Minca we wrocławskim Teatrze Polskim.

Minca, po niesłabnącym powodzeniu jego warszawskiej inscenizacji „Białego małżeństwa", śmiało można zaliczyć do reżyserów najlepiej interpretujących niełatwą, ciągle odmieniającą się dramaturgię Tadeusza Różewicza. Oglądałam przedstawienie „Kartoteki" Teatru Polskiego z dużą satysfakcją już w czasie festiwalu wrocławskiego, powtórne obejrzenie sprawiło mi jeszcze większą przyjemność. Minc potrafił przekazać widzowi pełnię dowcipu autora, nie umniejszając tym powagi tragicznej problematyki moralnej zawartej w „Kartotece". Jest to bez wątpienia najlepsza ze wszystkich jej dotychczasowych inscenizacji. Zdzisław Kozień, grający Bohatera, przewyższył poprzednich wykonawców roli absolutną wiernością, w każdym ruchu, geście, w każdej intonacji — postaci prawdziwego człowieka nękanego bezradnością wobec „spadania" otaczającego go świata. Na tle bardzo trafnie dobranej obsady na szczególną uwagę zasługują: Jadwiga Skupnik (Tłusta kobieta), Tadeusz Skorulski (Wujek), Bogusław Danielewski (Pan z przedziałkiem — Bobik?), Ferdynand Matysik (Gruby), Jadwiga Ziemiańska (Nauczycielka), Ewa Lejczakówna (Dziewczyna). Dekoracja Andrzeja Sadowskiego — niby niepozorna, jak chciał Różewicz.

W sumie — spektakl niesłychanie żywy, klarowny, komunikatywny przy całej znanej złożoności faktury formalnej sztuki. Niemałą sensacją, zwłaszcza dla krytyków antagonistów, było również przedstawienie Różewiczowego „Odejścia Głodomora". Wymienienie tej pozycji w drugiej kolejności nie znaczy : Różewicz contra Różewicz, lecz Minc contra Kajzar, zresztą w tym pojedynczym przypadku, bo w r. 1971 opracował Helmut Kajzar dla lubelskiego teatru im. J. Osterwy świetną II wersję „Śmiesznego staruszka".

Prapremierę „Odejścia Głodomora" zawdzięczamy wrocławskiemu Teatrowi Współczesnemu, który pod kierunkiem dyr. Kazimierza Brauna zaczyna być jednym z najciekawszych teatrów polskich. Widziałam tam podczas Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych znakomite przedstawienie „Operetki" Gombrowicza w inscenizacji Brauna (stanowczo powinno się ją zaprezentować na Warszawskich Spotkaniach Teatralnych). „Głodomora" oglądałam na jeleniogórskiej scenie po raz drugi. Publiczność odbierała spektakl dobrze, ale mnie osobiście wydaje się, że scena kameralna więcej sprzyjałaby skupieniu się nad bardzo głęboką, wieloznaczną problematyką tej rzeczy. Nie zachodziłaby wówczas potrzeba „watowania" jej w spektaklu elementami ruchowymi obcymi dla naczelnego nurtu myślowego. Wprawdzie do różnych czynności tego typu upoważnia poniekąd sam Różewicz dając jak zawsze sporo swobody realizatorom, ale w końcowym rozrachunku reżyser jest odpowiedzialny za nadużycie owej swobody.

Gdy zestawiłam „Odejście Głodomora" z Kafkowskim „Hungerkünstlerem", do którego zostało nawiązane, wzbudziło we mnie zdecydowany sprzeciw powiedzenie Różewicza w „PS. Z mojego warsztatu": *Oczywiście to doskonałość Kafki zamurowała wszystkie wejścia* ...do wnętrza Głodomora. Cóż za zdumiewająca skromność u naszego czołowego dramatopisarza i poety. Kafka! KAFKA! Nie wszystko, co napisał Kafka, jest aż tak doskonałe, jak to się sugeruje. „Hungerkünstler", nad którym pracował w latach 1921—1924, jest trzecią z czterech nowel stanowiących cykl pod wspólnym tytułem „Głodomór" i ta nowela jest najlepsza pod względem struktury myślowej. Pozostałe trzy: „Pierwsze cierpienie", „Mała kobieta" i „Śpiewaczka Józefina czyli Naród myszy" — są mniej udane. Różewicz wszak miał już do swego „Głodomora" — „wejście" i „wyjście" we własnej „Kartotece" (częściowo też w „Na czworakach"), a tekst jego „Odejścia Głodomora" znacznie przewyższa „Hungerkünstlera" inwencją i ukrytą pasją estetyczną, którą poznaje się z ostrego przeciwstawienia Głodomorowi otaczającego go pospólstwa. Różewiczowe „Odejście Głodomora" łączy z „Hungerkünstlerem" w istocie *tylko kilka nici* — fabularnych, albowiem „Hungerkünstler" jest utworem zdeklarowanego s a m o t n i k a, podczas gdy w twórczości Tadeusza Różewicza nie da się wytropić śladów egocentryzmu.

Bogusław Kierc miał bardzo przejmujące, gorzkie akcenty w ostatniej kwestii. Na ogół zaś wolałabym, żeby Kajzar zaproponował aktorowi przybranie postawy człowieka bardziej dojrzałego i żeby biała „maska" nie zacierała ekspresji twarzy. Obecność Głodomora w klatce powinna być nieprzerwanie w y r a ź n i e wyczuwana przez widza, jak nieodstępny wyrzut sumienia.

Alina Obidniak i Janusz Degler raz po raz sięgają do zasobów godnego uwagi „retra" dramaturgicznego. W marcu br. wystawili np. „Ślepców" Maeterlincka. Pokazali ich m. in. w warszawskim Teatrze Małym. Natomiast na JST mieliśmy nie lada niespodziankę — „Życie Człowieka" Leonida Andriejewa, cieszące się za moich lat studenckich ogromnym powodzeniem. Prapremiera tej sztuki odbyła się w 1907 r. w petersburskim Teatrze Wiery Komissarżewskiej, w reżyserii Meyerholda. Co do mnie, widziałam późniejszą jej inscenizację w Moskiewskim Teatrze Artystycznym Stanisławskiego (obecny MCHAT). W Polsce „Życie Człowieka" wystawił przed pierwszą wojną światową Teatr Miejski we Lwowie. Po drugiej wojnie Andriejewa przypomniał u nas Leon Kruczkowski, swoją adaptacją dramaturgiczną opowiadania rosyjskiego pisarza „Gubernator" bardzo zbliżoną do oryginału.

Sam fakt wystawienia zapomnianej sztuki znakomitego pisarza z okresu rosyjskiego modernizmu należy zaliczyć Teatrowi Norwida na dobro. Do inscenizacji zaś i scenografii młodego reżysera Krystiana Lupy można jednak mieć pewne zastrzeżenia. Katastroficzny pogląd na świat nie jest przeciwwskazaniem do wystawienia „Życia Człowieka". (Andriejew był katastrofistą przed pierwszą wojną, jak u nas Czechowicz — przed drugą), ale wydaje mi się rzeczą jasną, że z tego choćby względu nie należy grać jego sztuki na modłę „teatru wspólnoty" — w bezpośrednim otoczeniu widzów. U Stanisławskiego usłuchano autora i stało się dobrze. Andriejew pisze o scenerii Prologu: *Scena przedstawia coś w rodzaju regularnie czworokątnej komnaty... Z niewiadomego źródła płynie równe, słabe światło... jednostajne, widmowe... Bez szelestu oddziela się od ściany K t o ś S z a r y... Ma na sobie szeroką, bezkształtną togę... Na głowie ma takie samo szare pokrycie, które gęstym cieniem zasłania górną część oblicza...*

Nie wiedzieć czemu Krystian Lupa uważał za stosowniejsze przebrać Kogoś Szarego w habit zakonnika. Znak został zamieniony. Przecie Andriejewowi chodziło o nieznany, tajemniczy LOS. Niepotrzebnie również posadzono w scenie balu konkretnie zdemokratyzowaną grupę gości. Zastępując dosłownością metaforyczną mierność sławy i bogactwa robił to reżyser może z zamiarem aktualizacji treści, bo ja wiem?

Były jednak w spektaklu momenty, kiedy zespołowi udawało się zagrać w tonacji Andriejewa, pokrewnej ekspresjonizmowi, z karykaturalnym odkształceniem tu i owdzie postaci jakby „wziętych z życia", z dialogami „życiowo" banalnymi (np. w Obrazie I — „Narodziny Człowieka").

Wręcz kreacją można nazwać postać Starej służącej odtworzoną przez Zuzannę Łozińską. Doświadczona artystka utrafiła bezbłędnie w specyficzny andriejewowski styl modernistyczny. René Sliwowski określa ten styl jako programowy schematyzm, ja bym zaryzykowała dla niektórych pasusów (sceny z Krewnymi) termin: „karykaturalny realizm syntetyczny".

Jednym z błędów młodego reżysera było rozciągnięcie finału. Stanisławski kończył spektakl władczymi, przejmującymi słowami: *Zamilczcie! Człowiek umarł!* Następowała po tym nagła, absolutna cisza i mrok. Tylko w głębi sceny ukazywała się w mglawym promieniu światła gigantyczna postać — „Fatum".

W sumie wszakże należy się Krystianowi Lupie i zespołowi aplauz za zmaganie się z nader trudnym utworem.

Wskutek przyjazdu mego na drugi dzień JST, nie zobaczyłam powszechnie chwalonego „Kubusia Fatalisty" z warszawskiego Teatru Dramatycznego ani jeleniogórskiego przedstawienia Teatru Stu z Krakowa — „Pacjenci" wg Bułhakowa (ten spektakl znałam zresztą z festiwalu łodzkiego i nie podzielam z różnych względów ogólnych zachwytów).

Wobec braku miejsca „na łamach", muszę zrezygnować z opisu serdecznie przyjętego przez publiczność jeleniogórską widowiska Teatru im. Sandora Petöfiego w Veszprem (i z Węgrami zorganizowało wymianę teatralną kierownictwo Teatru im. C. Norwida, nie tylko z Wenezuelą).

Podzielone były zdania o swoistej mini-pantomimie „Terminator", którą „nadesłał" na festiwal Teatr im. Jana Kochanowskiego z Opola. Mnie się wszakże wydaje, iż reżyser Zbigniew Mich tudzież aktorzy: Mieczysław Franaszek (Majster) i Grzegorz Heromiński (Uczeń), wraz ze scenografem Tomaszem Banowichem, zrobili, co daje się zrobić ze zbyt udziwnionej sztuki Petera Handke.

Pomijając w omówieniu „Protokół pewnego zebrania" wrocławskiego Teatru Polskiego (na który nie pojechałam do Fabryki Dywanów w Kowarach, bo już widziałam trzy inscenizacje tej świetnej sztuki Gelmana), okrywając poza tym milczeniem pretensjonalny i „amatorski" spektakl nawiązujący do „Testamentu" Villona, pokazany przez Jeleniogórski

Tadeusz Różewicz — Odejście Głodomora. Od lewej: Halina Pasiakówna, Bogusław Kierc, Grażyna Krukówna-Frymar.

Fot. Z. Mozer

Teatr Animacji (jestem zaklętym wrogiem animatorów pomiatających lalkami), pragnę jeszcze powiedzieć, że głębokim wstrząsem emocjonalnym i prawdziwą ucztą artystyczną była dla mnie „Replika" Józefa Szajny, (z muzyką Bogusława Schäffera) którą powinien obejrzeć w warszawskim Teatrze Studio każdy miłośnik teatru i plastyki.

Pozostaje mi wspomnieć o ogromnym powodzeniu „Egzaminu" Gawlika. Odegrał go warszawski Teatr Ochoty w otoczeniu młodzieży, żywo oklaskującej zespół z Janem Machulskim na czele (w roli Sekretarza Malawskiego).

Kończę niniejszą relację ,na pozór przydługą, w istocie zaś przykrótką proporcjonalnie do znaczenia Jeleniogórskich Spotkań Teatralnych. Kończę ją szczerym komplementem pod adresem wykonawców i autorów arcydowcipnego programu „Po to jest kabaret" w reżyserii szeroko znanego i cenionego Jana Pietrzaka, odnoszącego triumfy w warszawskiej „Egidzie". Kabaret, stworzony przez własnych aktorów teatru jeleniogórskiego, jest jeszcze jednym jego niemałym osiągnięciem.

Słowem: niech nadal prosperują w nieskończoność Jeleniogórskie Spotkania Teatralne! Niech żyje Teatr im. C. Norwida, ich świetny organizator!

Kamena str. 10

R. E. Haydn

PRZESŁANIE

Słuchaj mnie biały bracie,
Czarny bracie, słuchaj mnie!

Widziałem rękę
Która płomień tlenu
Trzymała ponad zwęglonym ciałem,
Widziałem rękę
Wydającą rozkaz:
Strzelać na białe posterunki strajku!

I to była ta sama ręka.
Bracia, słuchajcie mnie!
To była ta sama ręka!

Słuchajcie mnie czarni bracia,
Biali bracia, słuchajcie mnie!

Słyszałem słowa —
„Plugawy Murzynie! Biały łumpie bez pieniędzy!"
Te same — nie inne — usta wymawiały je!

Bracia, słuchajcie mnie dobrze!
Te same usta wymawiały je!

Z wersji niemiecko-językowej przełożył Tadeusz Jasiński

Meta Kušar

SPRAWOZDANIE IV

Przyzywasz mnie milczeniem,
śmiechem nieoczekiwanym,
który umyka moim dłoniom.
Cień mój kłamie —
rano się przyzna.
Nie mogę nic zrobić,
Tak jak wtedy, gdy budziłam się ze snu.
Kiedy się nie boję,
opada ciężka rdza,
wtedy całuję świat zielony,
chmury i młode liście.
Mam nadzieję,
że jutro obudzę w tobie kobietę.
Czekam nocy,
niech znikną ślady
czasu
nieprzeżytego.

Z serbochorwackiego przełożył Marian Aleksandrowicz

W SETNĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI POETY

Mikołaj Niekrasow

GDY WOJNY ŚLEDZĘ BIEG...

Gdy wojny śledzę bieg, wzruszony,
Gdzie ofiar tyle bój zabiera,
Nie żal mi druha ani żony
Ani samego bohatera...
Łatwo pocieszyć się kobiecie,
Druha się szybko druh pozbędzie;
Lecz jedna dusza jest na świecie,
Która do grobu pomnić będzie!
Pośród spraw naszych powikłanych,
Wśród trywialności wszelkiej, prozy,
Dostrzegłem mnóstwo łez wylanych,
Najszczerszych łez, bez żadnej pozy —
To matek łzy osieroconych!
O, nie zapomną swych rodzonych,
Którzy na krwawej padli niwie;
Tak — nie wznieść już płaczącej iwie
Gałązek swoich opuszczonych...

1855

Przełożył Andrzej Cesarz

W konkursie literackim pod hasłem „Lubelszczyzna — region — praca — młodzież", zorganizowanym przez lubelski ośrodek KKMP oraz ZW ZSMP, III nagrodę (I nie przyznano) otrzymał Zbigniew Włodzimierz Fronczek (godło „Latający Holender") za utwór, którego fragment drukujemy.

FRAGMENT Z TRAWIATY

Zbigniew Włodzimierz Fronczek

BYŁO to w czasie, kiedy w gazetach zamieszczano mnóstwo informacji o japońskim żołnierzu, który przesiedział w buszu blisko trzydzieści lat, nic nie wiedząc o skończonej wojnie. Nieistotne kto go odkrył i w jaki sposób przeprowadzono z nim pierwszą rozmowę. Najważniejsze, iż nie zamierzał złożyć broni dopóki nie otrzyma rozkazu swojego dowódcy. Nie wiem, jak skończyłaby się historia, gdyby dowódca nie żył. Na szczęście cieszył się dobrym zdrowiem i w ciągu tych lat, kiedy jego podwładny czaił się i skradał z karabinem gotowym do strzału, gdyż za każdym drzewem wypatrywał wroga, on prowadził nieźle prosperujący sklepik.

To zdarzenie chciałem podsunąć do ewentualnego wykorzystania mojemu przyjacielowi Dionizemu Maru Wietrzykowi, znanemu i podziwianemu przez panią reżyserowi. Co prawda nie współpracuje on z żadną ze stołecznych estrad, ale chyba tylko ze względu na zbyt awangardowe pomysły nie jest tam zatrudniany. Dlatego swe spektakle realizuje w zespole kilku zapaleńców, poświęcających dla teatru każdą wolną chwilę i zaoszczędzoną złotówkę. Teatr o niewybrednej nazwie Bańka Mydlana wystawia swe sztuki na festiwalach studenckich, wędruje z nimi po kraju goszcząc na festynach ludowych, dożynkach i odpustach.

Kiedy opowiedziałem podczas ostatniej rozmowy historię o tym żołnierzu, nie przypadła mu ona do gustu. Wydął usta i rzekł: reklama, zgniły zachód. Właściwie wschód, ale inscenizacja marna. Opowiedział wówczas swoją przygodę. Będąc w Bieszczadach miał dziwne zdarzenie.

Dionizy bowiem często jeździ w góry. Lubi samotne, górskie wyprawy. Tego dnia miał za sobą wiele przebytych kilometrów, gdy pod wieczór trafił na zagubioną wśród lasów i gór leśniczówkę. Leśniczy, owszem, przyjął go chętnie. Przyzwyczajony był do turystów. Sympatią ich raczej nie darzył, ale dzisiaj przybysza chętnie witał, gdyż godzinę wcześniej w leśniczówce zjawiły się dwie młode osóbki. Dziewczyny były pierwszy raz w górach, przyjechały na wycieczkę autokarową z zakładu pracy. Wycieczkowicze poszli w las za przewodnikiem, a dziewczyny mimo kilkugodzinnych poszukiwań były skazane na nocleg w lesie. Na szczęście trafiły do tej chaty.

Dwie zabłąkane dziewczyny to za dużo szczęścia nawet dla samotnego leśniczego. Klepnąwszy Dionizego w ramię i zacierając ręce powiedział — dobra nasza! Stan płci jest remisowy — dwa do dwóch. Ten remis nas faworyzuje. Stan remisowy nie utrzymywał się długo. W chwilę potem przybył jeszcze jeden zabłąkany osobnik. Na szczęście towarzyszyła mu dziewczyna. Noc już była, więc tamten z progu o nocleg zapytał. Gospodarz machnął ręką i kiwnął głową. Dla niego w dalszym ciągu sytuacja była remisowa. Zabłąkany, lub w języku Dionizego — zabłąkaniec, przedstawił się jako znany rzeźbiarz Klaudiusz Kocjusz. Mój przyjaciel, owszem, słyszał o Kocjuszu, bo nawet w telewizji przeprowadzano z nim wywiady, a także pokazywali chatę zbudowaną przez niego wśród lasów. Chata otoczona była płotem z rzeźbionych świątków. Jednego z nich podarował dziennikarzowi, a ten przed kamerami telewizyjnymi, kiedy patrzyła na niego cała Polska, pochwalił się, jak niosąc dziwadło, czyli rzeźbę bożka-potworka, stał się pierwszoplanową postacią na ulicy.

Rzeźbiarz nie znał nazwiska Wietrzyka, o teatrze jego też nic nie słyszał, więc i Wietrzyk nie mógł się przyznać, iż o działalności Kocjusza słyszał.

Kocjusz mieszkał gdzieś w tych stronach, ale którą drogą trzeba było ruszyć, by dojść do jego chaty, tego nie wiedział. Chciał swojej przyjaciółce, Madonno do niej mówił, okolice pokazać i zmylił drogę, tak utrzymywał. Mój przyjaciel nie poczuł do nich specjalnej sympatii. Jednakże wcale nie radował się z tarapatów rzeźbiarza. Co prawda ten był wyjątkowo speszony swym niepowodzeniem. Taka historia zdarza mi się po raz pierwszy, zapewniał swą towarzyszkę. Ona kiwała głową i uśmiechała się ironicznie.

Na te dąsy nikt uwagi nie zwracał. Wszakże w tym czasie leśniczy i Dionizy zabiegali o względy panienek z wycieczki. Pierwszy zaintonował piosenkę zaczynającą się od słów: jak to na wycieczce ładnie, kiedy ktoś pod krzakiem padnie. Owszem, ta część podobała się, ale niestety dalszych słów nikt nie znał. Leśniczy nie wypuszczał z rąk inicjatywy. Zdarzało mu się w jednym zdaniu kilka przejęzyczeń, czy też z trudem przypomnianą anegdotkę opowiedzieć do końca lub po prostu dorobić pointę według własnego uznania. Nie było to istotne. Wietrzyk ani razu nie przerywał. Wiedział co czynić wypadało. To stary lew salonowy. Pozwalał gadać leśniczemu prowokując go, wybornym bawidamkiem nazywając, gospodarzem statecznym, a wszystko to wieść miało do jednego celu, by gospodarz faktycznie gospodarzem się poczuł i kolacją podjął zebranych. Na nic by się nie zdały dyplomatyczne zabiegi, gdyby jedna z dziewcząt wprost nie powiedziała — głodna jestem.

— Czym chata bogata — brzmiała natychmiastowa odpowiedź. Już talerze ustawiał, jaja na patelnię rzucał, ale ten rytuał kucharski zakłóciło wejście dwóch młodych ludzi z plecakami. Zapytali czy do Berehu doszli. Tu leśniczy zaklął szpetnie. Schował to co uprzednio na stół wyciągnął i powiedział otwarcie, że spać nie ma gdzie.

— Nie spać tu przyszliśmy — odparł któryś z nich wcale nie zbity z tropu — tylko zapytać o Bereh. Do spania mamy swój namiot i śpiwory — wyjaśnił, wskazując ręką na plecaki. Faktycznie plecaki mieli olbrzymie.

Leśniczy, którego złość nie opuszczała, odparł, że Bereh dwadzieścia kilometrów na zachód. Tamci spojrzeli ze zdumieniem na leśniczego, potem długo wpatrywali się w mapę, a na koniec zaczęli potrząsać kompasem. Zły humor, a nawet wrogość gospodarza była zapewne wynikiem niekorzystnego rezultatu: trzy do pięciu. Gniew rósł, bo zabłąkane dziewczyny z nieukrywanym zachwytem zaczynały patrzeć na zabłąkanych turystów.

Oni tymczasem usiedli by odpocząć. Pogapiwszy się po ścianach największej izby w leśniczówce, gdzie, nawiasem mówiąc, wszyscy zgromadzili się, zaczęli opowiadać najrozmaitsze historie. Nawet interesująco mówili o tym skąd idą, co widzieli i dokąd iść zamierzają. Rozbudzili ciekawość zagubionych dziewczyn, które przestały się nawet martwić o jutrzejszą nieobecność w pracy. Z rosnącą sympatią spoglądały na turystów dziwiąc się jedynie niepomiernie, że z takimi olbrzymimi plecakami można po górach dla przyjemności biegać.

Tylko leśniczy nie krył swojego wrogiego stosunku do wędrowców. Wygłosił płomienne przemówienie zarzucające im niszczenie drzewostanu. Atmosfera po takim przemówieniu mogła zrobić się nieprzyjemna i przeczuwając to rzeźbiarz dał wszystkim do zrozumienia, iż chciałby się czegoś napić. Oczywiście miał na myśli alkohol. Wystąpienie przyjęto z aprobatą. Leśniczy zaproponował składkę i jako pierwszy wyciągnął banknot pięćdziesięciozłotowy. Była to prowokacja. Najwyraźniej chciał zasugerować po ile należy się składać. Ba, zobowiązał się dostarczyć każdą ilość alkoholu na jaką wystarczy zabłąkańcom pieniędzy. Składali się wszyscy. Wiedzieli jednak, że leśniczy nie do sklepu po alkohol pójdzie, a na strych, gdzie z pewnością zgromadził sporą ilość tego pożądanego napoju. Zebrawszy pieniążki i przeliczywszy je zobowiązał się wracać szybko. Siedzieli za stołem w ciężkim oczekiwaniu. Wielu z nas wie o mękach przedłużającego się czekania na alkohol.

Leśniczy nie wracał. Wówczas Dionizy, usiłujący każdą sytuację życiową przymierzać do teatralnej, rzekł do milczących osób za stołem: w takiej scenerii jak ta, w której znajdujemy się, wielu pisarzy umieszcza akcje swoich powieści kryminalnych. Zrobił aktorską przerwę, chcąc zobaczyć jakie wrażenie zrobiła ta część wywodu. Ponieważ nikt nie przerywał, a na twarzy jednej z dziewcząt, która nawiasem mówiąc przypadła Dionizemu do gustu, odmalowało się swojego rodzaju zainteresowanie, mówca postanowił kontynuować.

— Często akcja powieści rozgrywa się w takim domu jak ten, stojącym gdzieś na odludziu. Jedna z osób dramatu zaprasza grupę znajomych, z którą łączyły ją jakieś stosunki. Im dawniej to było, tym lepiej, im stosunki są bardziej zagmatwane, tym intryga ciekawsza, kiedy trudniej wydostać się z tego miejsca, akcja zapowiada się bardziej dramatycznie. Jeśli przybysze spostrzegą, że gospodarz gotuje im krwawą łaźnię, usiłują sobie przypomnieć co zmusza go do takiego postępowania

Po tych słowach wzrosło zainteresowanie słuchaczy. Leśniczy nie wracał z alkoholem, wszyscy więc oczekiwali na dalsze wywody reżysera. Wietrzyk powiedział kilkanaście zdań w stylu poprzednich i nie bez satysfakcji stwierdził podenerwowanie słuchaczy. Madonnie zaczęły drżeć ręce i rzeźbiarz musiał ją uspokajać. Nie mogąc poradzić sobie, zdenerwował się sam i usiłował swą złość wyładować na Wietrzyku.

— Nie chce pan nam chyba wmówić — zwrócił się do mego przyjaciela — że i my dostaliśmy się w taką pułapkę. Każdy z nas może przecież pożegnać się i ruszyć w swoją stronę i z głowy będzie mieć ten ponury dom i takież smętne towarzystwo.

Dokończenie ze str. 1

POLITECHNIKA LUBELSKA

3 października 1977 roku podczas środowiskowej inauguracji roku akademickiego w Lublinie został ogłoszony akt przekształcenia Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Politechnikę Lubelską, kształcącą studentów na sześciu następujących kierunkach: mechaniki, elektrotechniki, budownictwa, organizacji i zarządzania przemysłem, inżynierii środowiskowej, górnictwa i geologii, w ramach których istnieje jedenaście specjalności, m.in. technologia maszyn, samochody i ciągniki, elektroenergetyka, drogi i lotniska, automatyzacja i elektryfikacja kopalń, maszyny i urządzenia górnicze oraz wiertnicze...

Politechnika nie spadła z nieba. Droga do niej była długa, żmudna i wyboista, mimo wielkiej pomocy i sympatii, jaką władze i społeczeństwo lubelskie obdarzały uczelnię od początków jej istnienia; jeszcze pod postacią Wieczorowej Szkoły Inżynierskiej, powołanej 24 lata temu, dokładnie: Uchwałą Rady Ministrów z 13 maja 1953 roku. Była to bardzo skromna szkoła, posiadająca tylko jeden wydział: mechaniczny, na którym wykładali głównie praktycy, inżynierowie z zakładów produkcyjnych Lublina, w większości — z Fabryki Samochodów Ciężarowych, jako że WSI miała niejako służyć FSC. Taka sytuacja trwała aż jedenaście lat, podczas których wszelkimi siłami starano się o strukturalną rozbudowę szkoły, niejednokrotnie odwołując się przy tym do propagandowego wsparcia ze strony prasy. Nie było to zresztą takie trudne, jeśli weźmie się pod uwagę, że jeden z szefów „Sztandaru Ludu" należał do ścisłego grona inicjatorów WSI. Oczywiście, poparcie prasy miało przesłanki bardziej obiektywne, bardziej rzeczowe, osadzone w rzeczywistości rozwijającego się przemysłu Lubelszczyzny. Nie lekceważmy przecież roli jednostek w historii, nie popełniajmy błędów „starego Hegla".

No i te zbiorowe wysiłki przyniosły rezultaty: w 1964 roku uruchomiono wydział elektryczny, a rok później przekształcono istniejące od 1962 roku studium budownictwa w wydział budownictwa lądowego. 28 kwietnia 1965 roku placówka zyskała status Wyższej Szkoły Inżynierskiej i rozpoczęła kształcenie systemem studiów dziennych. Można powiedzieć, że było już bardzo dobrze. Kto jednak pamięta, w jakich trudnych warunkach odbywały się wówczas zajęcia dydaktyczne, ten nie zgodzi się zapewne na owo „bardzo dobrze". Brakowało pomieszczeń, aparatury i urządzeń, brakowało też wysoko kwalifikowanej kadry, a tym samym wyraźniejszych osiągnięć naukowych. Warto, aby wiedzieli o tym studenci Politechniki Lubelskiej, korzystający dziś z nowych i dużych obiektów ośrodka uczelnianego przy ul. Nadbystrzyckiej — może najładniejszego z tych, jakie posiadają polskie szkoły techniczne akademickiego stopnia. Obecnie w PL studiuje 4 590 osób (na studiach dziennych 2 380), a każda z nich, która potrzebuje, ma zapewnione miejsce w domu akademickim. Politechnikę stać nawet na wypożyczanie części tych pomieszczeń słuchaczom Akademii Medycznej i Akademii Rolniczej. Na jednego studenta PL przypada dziś 39 m kwadr. powierzchni obiektów uczelni.

Warto też przypomnieć, że przed rokiem 1970 cieszyła WSI każda maszyna, każde urządzenie przekazane jej przez przemysł dla wzmocnienia stanu „pomocy naukowych" — mimo że były to rzeczy „przechodzone" i, co tu dużo mówić, przestarzałe. Aktualne wyposażenie Politechniki w aparaturę ocenia się na 125 mln zł, co znaczy, że na jednego nauczyciela akademickiego „przypadają" dobra o wartości 380 tys. zł. Wśród aparatury unikalnej znajdują się m.in.: elektroniczna maszyna cyfrowa „Odra 1325" z wyposażeniem, minikomputer „Wang" z wyposażeniem, zestaw maszyn analogowych oraz wytrzymałościowych, mikroskop elektronowy, stanowiska próżniowe, dyfraktometr „Dron — 1" i inne machiny o równie ciekawych, acz nie zawsze dla przeciętnego obywatela zrozumiałych nazwach. Niektóre z nich podpowiadają przecież, że sprawy informatyki zajmują istotne miejsce w pracy uczelni. Na pełny rozwój odpowiedniego zakładu będzie trzeba jednak jeszcze poczekać.

Za przełomowy w dziejach uczelni uznaje się rok 1973, bo — jak informuje dokument — zyskano wówczas „prawa prowadzenia jednolitych studiów magisterskich na wszystkich kierunkach studiów, przeprowadzono gruntowne zmiany organizacyjne polegające na zmianie struktury organizacyjnej oraz systemu zarządzania uczelnią, opracowano kompleksowy program rozwoju uczelni do 1980 r. i wytyczne do 1990 roku."

Niedawno Instytut Przetwarzania i Użytkowania Energii Elektrycznej uzyskał prawo nadawania doktoratów, a ponadto uczelnia rozpoczęła kształcenie studentów na kierunku szczególnie ważnym z perspektywy gospodarki: Górnictwa i Geologii.

Nietrudno zauważyć, że faktyczny rozwój WSI rozpoczął się po roku 1970, a więc po dwudziestu latach od momentu powołania placówki. Pozostaje to w żywym związku z ogólniejszymi przeobrażeniami gospodarczo-społecznymi, zachodzącymi w kraju w ostatnim okresie, a nacelowanymi na modernizację naszego przemysłu, racjonalizację zarządzania i dostosowanie ludzkich kwalifikacji zawodowych do wymagań nowoczesnych technologii, z którymi nierzadko jesteśmy jeszcze na bakier, co ujemnie odbija się na jakości produkcji.

Nie lekceważyłbym jednak tamtego długiego okresu przygotowań „do „Politechniki Lubelskiej". Wydaje się bowiem, że zrobiono wówczas tyle, ile można w ogóle było zrobić w określonych warunkach społeczno-ekonomicznych. Historia szkolnictwa wyższego nie zna zresztą przypadku błyskawicznego u s t a n o w i e n i a uczelni z prawdziwego zdarzenia, tym bardziej uczelni technicznej, wymagającej specyficznego i kosztownego wyposażenia materialnego oraz odpowiedniej kadry. A właśnie rozwiązanie tej ostatniej kwestii nastręczało zawsze lubelskiej WSI sporo kłopotów i opóźniało jej rozwój, nie zawsze — dopowiedzmy — tłumacząc się tzw. czynnikami obiektywnymi. Przypomnijmy, że jeszcze siedem lat temu Wyższa Szkoła Inżynierska zatrudniała na pełnym etacie zaledwie 14 samodzielnych pracowników naukowych, a na części etatu — 4. Adiunktów i wykładowców z tytułem doktora było wówczas dwóch! Dzisiaj odpowiednie liczby przedstawiają się następująco: 54 — 14 — 58! Ich komentowanie nie ma sensu, są zbyt wymowne, przypomnijmy przecież, że chcąc pozyskać dla WSI specjalistów wysokiej klasy, prezydent Lublina i rektor uczelni osobiście obwozili wybrane osoby po różnych osiedlach mieszkaniowych, oferując a to takie, a to inne mieszkanie. No i mamy tego rezultaty, także w formie „Politechniki Lubelskiej".

Politechnika nie spadła z nieba. Przed jej powołaniem uczelnia nawiązała współpracę — w oparciu o dwustronne porozumienia — z Instytutem Politechnicznym w Rydze, Uniwersytetem w Liège, Wyższą Szkołą Architektury i Budownictwa w Weimarze, Instytutem Inżynierii Budowlanej w Brześciu, a ponadto pozostaje w kontaktach z Wyższą Szkołą Techniczną w Koszycach, Instytutem Wydajności Pracy w Belgradzie i Wyższą Szkołą Techniczną w Miszkolcu. A jaki ośrodek zagraniczny chciałby pracować z polską uczelnią gdyby nie dysponowała ona odpowiednio interesującą ofertą naukową?!

Dla zobrazowania pozycji naszej uczelni dodajmy jeszcze, że uczestniczy ona w realizacji trzech programów rządowych (naukowo-badawczych) trzech problemów węzłowych, zaś w ramach międzyresortowego planu badań podstawowych realizuje 8 tematów. Łącznie: 49 tematów centralnego planu badań opracowują naukowcy lubelscy. Wartość tych prac: prawie 182 mln zł. Uczelnia ma na swoim koncie wynalazki, patenty i rozwiązania konkretnych problemów, zleconych przez gospodarkę, od początku bierze udział w pracach związanych z Lubelskim Zagłębiem Węglowym. Współdziałanie z tym przemysłem nabierze wyjątkowej dynamiki za trzy lata. Planuje się, że wartość prac naukowo-badawczych na rzecz LZW osiągnie 89 mln zł. Większość odpowiednich umów już podpisano, dotyczą one takich m.in. tematów: kryteria, metodyka badań oraz ocena stanów eksploatacyjnych obiektów inżynierskich LZW; analiza stanu zagospodarowania bazy surowcowej i perspektyw rozwojowych poszukiwań surowców skalnych w regionie lubelskim; model organizacji i zarządzania działalnością produkcyjną i usługową okręgu węglowego w okresie budowy i eksploatacji LZW...

Tadeusz Graba

Nie przespać życia

PODCZAS festiwalu w Sopocie udało mi się przeprowadzić rozmowę ze znaną piosenkarką węgierską Zsuzsą Koncz, również i u nas bardzo popularną. Oto relacja z tej rozmowy.

— *Nie czuje się pani zbytnio zmęczona?*

— Troszeczkę. Wczoraj jeszcze słuchała mnie publiczność w Szeged (około 300 kilometrów na południe od Budapesztu), gdzie otrzymałam telefon z Interkoncertu informujący mnie o jutrzejszym występie w Sopocie. Zabrałam więc towarzyszących muzyków, odbyłam trzy podróże samolotem i oto jestem u was. Nie mogłam zawieść zaufania organizatorów imprezy. Szanuję publiczność i naprawdę rzadko odwołuję występy. Muszę wyznać, że bardzo serio traktuję swe koncerty i wkładam w nie wszystko co umiem. Może to, co powiem, wyda się prawdą dawno odkrytą, ale w piosenkarstwie podobnie jak w wielu innych dziedzinach sztuki istnieje kilka wtajemniczeń. Na początku człowiek zachwyca się każdą możliwością śpiewania, obojętne co, gdzie i z kim. Później zaczyna rozpatrywać się za odpowiednim dla siebie genre artystycznym i powoli przystępuje do pracy na nazwisko. Kiedy jest już znanym i popularnym wykonawcą, przykłada wagę do repertuaru, do opinii o sobie, zabiega o współpracę możliwie najciekawszych kompozytorów, aranżerów, tekściarzy, tak aby w końcu mógł pozwolić sobie na swobodne manewrowanie repertuarem, na artystyczną interpretację i wybieranie do koncertu najlepszych tzw. „hitowych" numerów. W ciągu 15 lat pobytu na estradzie przeszłam wszystkie etapy. Dziś wychodząc na scenę wiem doskonale, że na luz pozwolić sobie nie mogę. Wykonywana muzyka wciąga mnie bez reszty, toteż nie myślę wtedy o niczym innym.

— *Jednak szybko reaguje pani na reakcje widowni...*

— To zrozumiałe. Chcę pokazać się słuchaczom możliwie w kilku wcieleniach. Stąd śpiewam różnorodny repertuar: ballady Boba Dylona i Joan Baez, typowe piosenki „pop", rock and rolle i poezję. O tym, jakie piosenki wykonam i w jakiej kolejności, zależy w poważnej mierze od publiczności. Uważnie bowiem obserwuję reakcję i temperaturę na widowni i tak ustawiam kolejne utwory, by słuchacz nie czuł się choć przez chwilę znudzony. Przyznam, że na początku sprawiało to nieco kłopotu moim muzykom, którzy nie wiedzieli co mają grać.

— *Na scenie towarzyszy pani grupa Beton...*

— To mały zespół. Muzycy ci grają ze mną zaledwie pół roku. Poprzednio zaś przez dwa lata koncertowałam z grupą Koral, którą założył specjalnie dla mnie weteran węgierskiego beatu Győző Brunner. Mimo to drogi nasze rozeszły się z uwagi na rysujące się coraz poważniej rozbieżności artystyczne. Dziś Koral jest grupą samodzielną. Tak ustawiłam sprawę z obecnymi muzykami, że robią ze mną jedynie trasy koncertowe. Natomiast płyty nagrywam niezmiennie od dziesięciu lat z tą samą ekipą.

— *Mówi pani o spółce autorsko-kompozytorskiej Szörenyi-Bródy?*

— Oczywiście o nich. Z braćmi Levente i Szabolcem Szörenyi oraz Jánosem Bródy przyjaźnimy się od szkolnych lat. Kiedy cała trójka należała do wielce popularnego na Węgrzech zespołu Illés, nagrywaliśmy razem nie tylko płyty, ale i występowaliśmy często na scenie. Chłopcy dawali z siebie wszystko. Odbywaliśmy nawet 70 koncertów miesięcznie, przy czym sprawa była dla nich o tyle bardziej skomplikowana, że oprócz mojego godzinnego bloku, grali także swój repertuar. W styczniu 1974 Levente zmęczony pracą z poprzednią ekipą założył nową formację — FONOGRAF. Grupa wystartowała z folkrockiem, co w niczym nie zmieniło faktu, że byliśmy razem. Już co prawda tylko w studio, bo plany koncertowe mieli cokolwiek inne, ale nie przeszkodziło to naszej przyjaźni. Lubię pracować z Szörenyimi. Mam do nich tak wielkie zaufanie, że przy opracowywaniu nowej płyty zdaję się niemal w zupełności na ich smak muzyczny. Levente pisze zazwyczaj muzykę (czasem pomaga mu w tym László Tolcsvány), a teksty niezmiennie od lat János Bródy. Spółka jest ogromnie płodna i bogata w pomysły. Nagraliśmy dotąd dziesięć longplayów, a już przygotowujemy dwa następne. Pod koniec roku zamierzam zrealizować jedenasty z bajkami i baśniami dla najmłodszych słuchaczy, natomiast w początkach stycznia 1978 przystępujemy do nagrania płyty z poezją.

Zsuzsa Koncz

— *W takim razie będzie to trzeci album z wierszami?*

— Tak, trzeci. Pierwszy nagrałam na początku 1975 roku. Pomysł tej płyty narodził się przypadkowo, choć z zamiarem śpiewania poezji nosiłam się od dawna. Musi pan wiedzieć, że na Węgrzech jest to sztuka jeszcze zbyt mało popularna, o czym świadczy wymownie fakt, że pierwsza sięgnęłam po tomiki poezji. Kiedyś przeglądając je, wybrałam kilka ulubionych wierszy Sándora Petőfiego i Jánosa Arany prosząc Leventego, by zechciał je przejrzeć i w wolnej chwili zastanowił się nad oprawą muzyczną. Długo się przed tym wzbraniał, ale wziął

Kamena str. 12

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 100 LATY

W bieżącym roku udzielono dotychczas pozwolenie na wybudowanie w naszym mieście ośmiu domów murowanych dwupiętrowych, dwóch domów murowanych jednopiętrowych trzech murowanych budynków z celem przemysłowym, a mianowicie suszarni przy zakładzie garbarskim, kuźni i kilku przybudowań gospodarskich.

Wygodny i słusznie mający powodzenie hotel Victoria, ma być podobno wkrótce otoczony chodnikiem asfaltowym. Będzie to wielka dogodność tak dla osób zatrzymujących się w tym hotelu jak również publiczności spieszącej na pocztę i do domów z tej samej strony Krakowskiego Przed. położonych.

●

Młodzi ludzie stosujący się do ówczesnych mód, rozpoczęli przed niedawnym czasem wystrzygać sobie grzywy nad czołem. Dla uwidocznienia tych grzyw, kapelusz miękki filcowy wkładają na tył głowy, co ich robi podobnymi do dorożkarzy-wiedeńskich trzymających się tej mody. W Wiedniu ten sposób noszenia włosów nazywa się szykiem dorożkarskim, u nas robi konkurencję koniom i innym zwierzętom.

„Kurier Lubelski"

●

Przed paru miesiącami donosiliśmy czytelnikom o projekcie oświetlenia Lublina gazem. Otóż obecnie możemy podzielić się wiadomością, że do układów w tym przedmiocie z zarządem miejskim stanęły trzy kompanie: krajowa, śląska i francuska. Warunki kompanii są najprzystępniejsze. W miejsce dotychczas istniejących 140 latarni naftowych projektuje się postawienie 250 gazowych, każda o sile 8 świec woskowych. Przestrzeń na której latarnie te mają być ustawione wynosi 12 wiorst, nie należy jednak z tego wyprowadzać przeciętnego oddalenia jednej latarni od drugiej, w miejscach bowiem więcej uczęszczanych latarnie mają stać gęściej. Ogółem rocznie każda z latarni ma oświetlać przez 3000 godzin. Koszt nowego oświetlenia nie o wiele przeniesie obecny, warunki są daleko przystępniejsze aniżeli te na których oświetlenie gazowe zaprowadzone zostało w Łodzi i w Kaliszu, oraz że za rok czasu spodziewać się go możemy.

PRZED 50 LATY

W nocy z 11 bm. z niedzieli na poniedziałek o godz. 11.25 w całym szeregu domów dało się odczuć silne trzęsienie ziemi przy równoczesnych 2 hukach. Dziwny wypadek zdarzył się w nocy z dnia 11 na 12 bm. w domu przy ul. Niecałej nr 10. Wspomnianej nocy ok. godz. 12-ej, kiedy cały dom pogrążony był we śnie, rozległy się nagle z górnych pięter wołania. W tym samym czasie pojawiły się na drugim piętrze sylwetki lokatorów przebudzonych niezrozumiałym zjawiskiem, skakaniem łóżek i mebli. Jakieś silne wstrząśnięcie ruszyło górnymi piętrami domu. Wstrząśnięcie było tak znaczne, że woda stojąca w kubłach powylewała się na podłogę. Po długiej minucie paniki, podczas której lokatorzy zbierali się już do opuszczenia mieszkań, nastąpiło uspokojenie. Wstrząśnięcie nie powtórzyło się. Poza kilku oknami, które się same otworzyły, nie ma żadnych realnych śladów w postaci zarysowania czy pęknięcia. Cały szereg osób w różnych częściach miasta zauważyło w nocy na poniedziałek silny wstrząs w mieszkaniach, także lampy wiszące zaczęły falować i różne sprzęty podskakiwały. Na przedmieściu słabsze domki poczęły się chwiać. O tym niezwykłym zdarzeniu donieśliśmy Instytutowi Meteorologicznemu w Warszawie.

„Ziemia Lubelska"

●

Niedawno wzmiankowaliśmy o rozpoczętej pracy odnowienia inicjałów króla Stanisława Augusta, znajdujących się na szczycie kopuły Bramy Krakowskiej. Prace te zostały już ukończone w ubiegłą środę wspaniale odnowione i pozłocone inicjały „S.A.R.1768" umieszczone zostały ponownie na dawnym swoim miejscu na szczycie kopuły.

Robota wymagała dużego nakładu pracy i połączona była nawet ze względu na wysokość kopuły z pewnym niebezpieczeństwem.

„Głos Lubelski"

Wybrała Anna Orzechowska

Rys. E. Inglot

O pewnej piosence

Witold Zechenter

Z RÓŻNYCH przyczyn „obiektywnych" czytałem z opóźnieniem numer 3 „Dialogu" i wpadł mi tam od razu w oczy tytuł, jakże znajomy: „Upływa szybko życie..." Tak bowiem zatytułował swój felieton Wiesław Górnicki, a jest to przecież tytuł jednej z najpopularniejszych piosenek polskich, którego użyłem zarazem do zatytułowania mej książki wspomnień.

Czytam, co pisze Wiesław Górnicki: *Już tylko połowa Polaków zna tę rzewną, banalną melodyjkę, napisaną nie wiadomo kiedy i przez kogo.* Tu następuje miażdżąca krytyka piosenki, jej rymów, *od których puchną uszy.* A dalej:

Ale ten walczyk był kiedyś częścią nie pisanego folkloru miejskiego, zbyt tandentą, aby ją ktokolwiek uwieczniał w śpiewnikach...

Niezależnie od tego, jak dalece słuszne są dalsze, dość długie rozważania Górnickiego na temat piosenek, ich socjologii, przemijania czy trwałości, to, co felietonista napisał o piosence „Upływa szybko życie", jest całkowicie niezgodne z faktami. Wiemy bowiem, k t o i k i e d y napisał tę piosenkę, znajduje się ona też w n i e z l i c z o n e j i l o ś c i ś p i e w n i k ó w! Okazuje się, że nawet gdy się porusza tak błahy, z pozoru, temat, jak piosenka — należy cośkolwiek o tym konkretnego wiedzieć.

Trudno mi przypuścić, by publicysta miary Wiesława Górnickiego całkowicie przeoczył dwa wydania mej książki wspomnień pt. „Upływa szybko życie". Pierwsze ukazało się w roku 1971, drugie uzupełnione, w dwu tomach, w roku 1974, było sporo recenzji bardzo pozytywnych, książka wzbudziła zainteresowanie. Z pewnymi fragmentami polemizowano w pismach literackich, które następnie zamieszczały moje wyjaśnienia, odpowiedzi czy przyczynki. Ale widać tego wszystkiego Górnicki nie zauważył, inaczej bowiem, pisząc w „Dialogu" o piosence tak samo, jak moja książka, zatytułowanej, zajrzałby do niej i tam znalazłby od razu w pierwszym rozdziale wyjaśnienie, kto tę piosenkę napisał. A wiedząc już, kto, znając nazwisko autora i zarazem kompozytora, odszukałby bez trudu wszystkie dane dotyczące i jego i tej piosenki w podstawowym dziele Pawła Hertza, jakim jest jego siedmiotomowy „Zbiór poetów polskich XIX wieku", wydany przez PIW.

Otóż „Upływa szybko życie" napisał Franciszek Leśniak, ksiądz, którego trzy imiona brzmią: Franciszek Borgiasz Jan. *Urodzony* (przepisuję z niewiarygodnie wprost pracowitego zestawienia bibliografii setek poetów, jakim jest ów „Zbiór" Hertza) *9 października 1846 r. w Zawoi, w pow. muślenickim. Kształcił się w gimnazjum oraz od r. 1866 w Seminarium Duchownym w Tarnowie. Otrzymał święcenia kapłańskie w r. 1870, po czym był wikariuszem w Niepołomicach. Następnie w l. 1871—1873 pełnił funkcję wykładowcy i kierownika szkoły przyklasztornej w Starym Sączu, później zaś w Staniątkach koło Bochni. W r. 1878 otrzymał probostwo w Zbylitowskiej Górze koło Tarnowa. W r. 1887 przeniesiony do Tarnowa i tu objął probostwo parafii katedralnej. W l. 1888—1890 wykładał w Seminarium Duchownym teologię pastoralną, a następnie od r. 1894 historię sztuki. W r. 1905 objął stanowisko kustosza Muzeum Diecezjalnego, do którego rozwoju wielce się przyczynił. Pełnił liczne funkcje społeczne. W r. 1911 otrzymał obywatelstwo honorowe m. Tarnowa. Zmarł 30 stycznia 1915 r. w Tarnowie. Ogłaszał liczne prace dotyczące sztuki sakralnej oraz konserwacji jej zabytków. Był współautorem monografii Tarnowa (J. Leniek, F. Hertzia, F. Leśniak, „Dzieje miasta Tarnowa", Tarnów 1911). Autor niezwykle popularnego tekstu, zamieszczanego pod rozmaitymi tytułami we wszystkich niemal śpiewnikach i zbiorach pieśni, poczynając od pierwszej dekady w. XX.*

Tyle pracowity autor potężnej antologii. A więc wiemy dokładnie kto napisał tę piosenkę i wiemy, że była ona zamieszczana *we wszystkich niemal śpiewnikach i zbiorach pieśni.* Hertz nigdy nie jest w swej benedyktyńskiej pracy gołosłowny, podaje więc w wykazie setek antologii wiele pozycji, w których „Upływa szybko życie" znajduje się w całości lub w części. Wynika z tego zestawienia, że „Upływa szybko życie" wchodziło w skład antologii i śpiewników nie tylko przed pierwszą wojną (jak np. w „Echu Polskim", „Naszych pieśniach" czy „Śpiewniczku młodzieży polskiej"), ale także podczas pierwszej wojny, niejako zaadaptowane przez polskich żołnierzy, przez Legiony, bo widzimy tę piosenkę w śpiewniku Fr. Barańskiego „Jak to na wojence ładnie", w „Pieśniach Legionów Polskich", w „Pieśniach żołnierskich", w „Piosenkach leguna-tułacza", we wszystkich zbiorach wydawanych w latach 1914—1919, a także w śpiewnikach harcerskich, jak np. „Śpiewnik polskiego skauta". Tak więc piosenkę tę przyjęło jako swoją i wojsko, i harcerstwo, i organizacje zawodowe, rzemieślnicze, związki wszelkiego rodzaju — ale widzimy ją też w dwudziestoleciu, wciąż śpiewaną i... zmartwychwstaje nawet po drugiej wojnie, ukazuje się m. in. w Londynie w „Polskim śpiewniku narodowym z melodiami" jest więc uznana za pieśń narodową, a też w ułożonym przez Adama Harasowskiego śpiewniku „Złota księga pieśni polskiej". „Złota" księga, a więc wysoki poziom, nie byle co, jakby to chciał widzieć Górnicki (wydana w Londynie w r. 1955). Piosenka księdza Leśniaka znajduje się więc na przestrzeni dziesiątków lat w niezliczonej ilości antologii, a w wielu z nich obok hymnu narodowego i pieśni najwyższego lotu...

Czy jest ona bowiem tak marna, jak to ocenił Wiesław Górnicki? Mam do niej sentyment, sam śpiewałem ją tyle razy na wycieczkach szkolnych, jeszcze z kochanymi profesorami, których tylko niewyraźne cienie błądzą już dziś we wspomnieniu, na młodzieżowych potańcówkach — ach, jakże dalekich od dzisiejszych hałaśliwych dyskotek, tonących we wrzasku, w dymie, w oparach alkoholu, niestety, także; tańczyłem tego walczyka z różnymi pierwszymi miłościami... Trudno mi osądzić, czy ten wierszyk istotnie zasługuje jedynie na bezlitosną krytykę. Przytaczam go więc wedle tekstu zamieszczonego w cytowanym „Zbiorze", w jego księdze szóstej:

NA KONIEC ROKU SZKOLNEGO

Upływa śpiesznie życie,
Jak potok płynie czas,
Za rok, za dzień, za chwilę
Razem nie będzie nas.

I młode lata nasze
Upłyną prędko w dal,
A w sercu pozostanie
Tęsknota, smutek, żal.

O, jeszcze młodość nasza,
Jeszcze szczęśliwi my,
O, niech przynajmniej teraz
Nie płyną gorzkie łzy!

Już nadszedł koniec szkoły,
Nam u rozstajnych dróg,
Idącym w świat z otuchą
Niech błogosławi Bóg!

Śpiewało się zawsze tylko trzy pierwsze zwrotki — a pamiętam, że nieco inaczej. Bo nie „upływa śpiesznie życie", ale „szybko", a trzecią zwrotkę śpiewaliśmy w formie: „Więc póki młode lata, póki młodości dni, o niech przynajmniej teraz nie płyną smutku łzy!"

Tak więc ów rzekomo „nieznany" autor był nie byle kim — i pisał i komponował, a także znał się na sztuce, na konserwacji zabytków, na historii, był obywatelem honorowym historycznego i zabytkowego miasta. Szkoda, że Górnicki przed napisaniem tak krzywdzącego pamięć księdza Franciszka Leśniaka felietonu nie zastanowił się troszeczkę, nie poszukał na tak łatwych drogach jakiejś informacji... Nie pozbawiony wielu racji jego felieton nie byłby wtedy przykładem lekkomyślnej beztroski, z jaką się u nas nieraz pisze — czasem o błahych piosenkach, a czasem o poważniejszych sprawach.

Wyjeżdżałam właśnie zagranicę, więc nie widzieliśmy się ponad dwa miesiące. Gdy wróciłam zadzwonili do mnie chłopcy z Fonografu, abym przygotowała się do nagrania płyty. Repertuar już mają, tytuł albumu też i zamówione studio. Nie pozostawało zatem nic innego jak nagrywać. Z przedstawionych propozycji wybrałam 13 i płyta pod tytułem jednego z wierszy Petöfiego — „Będę ogrodnikiem" — ukazała się w ciągu sześciu miesięcy na rynku. Przyniosła mi ona autentyczną satysfakcję i dwie nagrody Złotej Płyty (u nas przyznaje się je za nakład 50 tys. egzemplarzy). Przekonało to mnie o słuszności wybranej drogi i rok później wydałam następny album z poezją ulubionych autorów. Teraz przygotowuję trzeci.

— *Piętnaście lat na scenie to bardzo długo. W tym czasie przylgnęło do pani kilka tytułów, jak choćby królowa węgierskiej piosenki, królowa fonografii, wreszcie tytan pracy. Jak je pani przyjmuje?*

— Uważam, że życia nie można przespać. Wszak ma się tylko jedno. Zawsze starałam się być w miarę sił aktywna i ta aktywność dawała mi zadowolenie i wiarę w sens tego, co robię. Piosenkarz, o ile poważnie traktuje swój zawód, musi stale uzupełniać repertuar. Na Węgrzech niemożliwy byłby na przykład fakt (o jakim dowiedziałam się od polskich kolegów), by z jednym programem jeździć po kraju trzy lata. Zresztą sama szybko znudziłabym się tym. Publiczność jest dziś niesłychanie wrażliwa i nie można jej oszukiwać. Estrada w przeciwieństwie do innych sztuk, na przykład do sceny, jest o wiele trudniejsza. Aktora chroni rola, kostium, makijaż, sufler i przed wyjściem na scenę zajmuje się nim przynajmniej pół tuzina osób. Piosenkarz zaś jest zdany wyłącznie na siebie. Kiedy zaśpiewa źle (a i to czasami się zdarza) mogą go wyśmiać lub, co gorsza, wygwizdać.

Wiem, że ilekroć wchodzę na estradę, muszę słuchającym mnie ludziom dostarczyć maksymalnie dużo wrażeń, pokazać im też stronę intelektualną, sferę moich przeżyć. Zazwyczaj mi się to udaje. Jeśli chodzi o królowę fonografii, to tytuł wydaje mi się pretensjonalny, choć od lat mam prymat w tej dziedzinie. Jak informuje Hungaroton, do dzisiaj ukazało się na rynku ponad dwa miliony dużych płyt, nie licząc singli. Dwa miliony na Zachodzie to znowu nie tak dużo (tam nawet single zdobywają milionowe nakłady), niemniej przy naszych dziesięciu milionach obywateli, liczba wydaje się chyba imponująca.

Rozmawiał
Istvan Grabowski

Kamena str. 13

kultura 1977

FILM I TV

● Klasyka i współczesność — to dwa główne nurty repertuarowe Teatru Telewizji w bieżącym sezonie. Spośród najbliższych premier warto wymienić: „Niespodziankę" Rostworowskiego w reżyserii J. Swiderskiego, „Bal manekinów" B. Jasińskiego w reż. J. Warmińskiego, „Skiza" Zapolskiej w reż. Olgi Lipińskiej, „Warszawiankę" S. Wyspiańskiego w reż. A. Łapickiego, „Rewizora" Gogola, „Barbarzyńców" Gorkiego, „Ostatnie dni" Buthakowa czy sztukę współczesną „Małżeństwo szuka pokoju" M. Roszczina. Według zapowiedzi dyrektora Teatru TV Jana Pawła Gawlika, ambicją placówki jest poszerzenie grona współpracujących reżyserów, zwłaszcza młodych.

● W Leningradzie odbył się Festiwal Filmów Telewizyjnych, na którym zaprezentowano najbardziej wartościowe pozycje z ostatnich kilku lat. Główną nagrodę festiwalu otrzymał film dokumentalny „Leninowską drogą", poświęcony partyjnej i państwowej działalności Leonida Breżniewa. W dziedzinie publicystyki dokumentalnej zwyciężyła 59-odcinkowa „Nasza biografia", pokazująca historię Kraju Rad. Za najlepsze opracowanie tematu Rewolucji uznano adaptację dramatu Konstantego Treniewa „Lubow Jarowaja".

● Na ekrany kin francuskich wszedł film „Błękitne paprocie", który jest reżyserskim debiutem pisarki Francoise Sagan. Chodzi w nim o problematykę rodziny, złożonego świata uczuć i przeżyć ludzkich. Równocześnie ukazała się jej nowa powieść „Niezasłane łóżko" — dwunasta po „Witaj smutku". W obu przypadkach krytycy przychylnie ocenili wartość artystyczną dzieł. Saganka wyznała, że poprzednio nie umiała nawet fotografować, ale teraz myśli o drugim filmie, chociaż nie chce zerwać z pisarstwem.

● Jedna z amerykańskich placówek badań futurologicznych zapowiada zmierzch kina. Ludzie, mając tanią aparaturę wyświetleniową, będą mogli wypożyczyć z videobibliotek videokasety lub płyty z filmami, ewentualnie na własnym ekranie wyświetlać filmy, nadawane w telewizji przewodowej. Pożyjemy — zobaczymy.

LITERATURA

● Niezwykle ścisłe i pożyteczne dla obu stron kontakty utrzymuje Dom Kultury Przemysłu Bawełnianego im. F. Dzierżyńskiego w Łodzi z miejscowymi pisarzami. Przed wejściem do fabryki wisi galeria portretów czołowych literatów łódzkich. Raz w miesiącu odbywają się spotkania, na których frekwencja jest zawsze olbrzymia. Kilkanaście dni przed spotkaniem w Domu Kultury wywiesza się portret danego pisarza wraz z notką o jego dorobku, co umożliwia zapoznanie się załogi z jego twórczością przed spotkaniem. Jeżeli pisarz ma w dorobku scenariusz filmowy, telewizyjny lub radiowy, prezentuje się je przed spotkaniem. Na miejscu są zawsze książki, o których może być mowa.

● „Miesięcznik Literacki" przyznał doroczne nagrody. Trzy równorzędne otrzymali: Stanisław Jaworski za „Między awangardą a nadrealizmem" (Wydawnictwo Literackie), Stanisław Bainko za „Marksizm i jego krytycy" (Książka i Wiedza) oraz Witold Zalewski za „Dolinę królów" (PIW). Przewodniczącym jury był Włodzimierz Sokorski.

● Podsumowano już wyniki I Moskiewskiej Wystawy — Targów Książki. Hasło „Książka w służbie pokoju i postępu" zyskało sobie międzynarodowe uznanie i wystawa będzie odtąd organizowana co dwa lata. Godne uwagi są też wyniki komercyjne. Zjednoczenie „Mieżdunarodnaja Kniga" kupiło i sprzedało książki za 60 milionów rubli, a Wszechzwiązkowa Agencja Praw Autorskich zawarła prawie 1300 umów na przekłady literatury radzieckiej za granicą i literatury obcej w Związku Radzieckim.

● Wydawnictwo literatury pięknej i sztuki „Odeon" w Pradze wydało w ciągu 25 lat ponad 100 książek polskich autorów. W tym roku wydano już wznowienia „Krzyżaków" i „Konrada Wallenroda", a ukażą się: „Dworzanin" Ł. Górnickiego, opowiadania B. Prusa i S. Lema oraz „Konopielka" E. Redlińskiego.

MUZYKA

● W Gdańsku zakończył się organizowany co trzy lata, już piąty z kolei, Ogólnopolski Festiwal Młodych Muzyków. Zgłosiło się 44 absolwentów i słuchaczy roku dyplomowego z wszystkich wyższych uczelni muzycznych. Na festiwalu nie rozdziela się nagród, natomiast zapewnia się występy z czołowymi orkiestrami symfonicznymi oraz na scenach operowych kraju. Zdaniem fachowców uczestnicy zaprezentowali ambitne programy z repertuaru klasycznego i współczesnego, a poziom wykonania był bardzo wysoki.

● Polski przemysł muzyczny powstał przed 30 laty, zaczynając dosłownie od zera. Obecnie siedem zakładów daje produkcję roczną wartości 570 mln zł. Około 40 proc. produkcji idzie na eksport, a nasze instrumenty kupują nie tylko wszystkie kraje socjalistyczne, ale także m. in. Francja, RFN, Włochy, Holandia, państwa skandynawskie, a nawet Japonia i Wyspy Kanaryjskie. Dotychczas wyprodukowano m. in. 127 tys. pianin, 1,3 mln sztuk instrumentów strunowych, 78 tys. gitar elektrycznych i elektroakustycznych, a także 7 mln sztuk zabawek muzycznych. We Włoszech nasze pianina kosztują tyle, ile popularny i tam Fiat 126.

● Z okazji 70 rocznicy urodzin zmarłego przed kilku laty jednego z najwybitniejszych pianistów radzieckich — Lwa Oborina, ukazała się w ZSRR praca zbiorowa pt. „Lew Oborin. Artykuły. Wspomnienia". Przypomnijmy, że międzynarodowa kariera Oborina zaczęła się w Warszawie w 1927 roku, gdy zdobył pierwsze miejsce na I Międzynarodowym Konkursie Fryderyka Chopina. Od tego też czasu datuje się fala międzynarodowych sukcesów radzieckich wykonawców — pianistów, skrzypków, wokalistów, dyrygentów i zespołów muzycznych. O Oborinie we wspomnianej książce piszą m. in. Dymitr Szostakowicz (także już nie żyje) oraz Aram Chaczaturian.

OPINIE

● „Każda literatura wywodzi się z pewnej idei, z określonego światopoglądu, z wrażliwości na dolę człowieczą — jest imperatywem estetycznym pisarza, jako uczestnika historii. Tak pojęta — jest, winna być, uświadomioną formą jego wolności". (Jan Górec-Rosiński — „Fakty-TT" nr. 40).

● „Dawniej — znów felietonowo upraszczając — twórca wyróżniał się spośród społeczeństwa nadzwyczajną mądrością, a dziś przeciętny poziom oświaty jest i wysoki i coraz wyższy, tak że twórca tracąc wiele energii w pogoni za wiedzą potencjalnego czytelnika często mimo woli musi zrezygnować z prześcignięcia jego myśli. Współczesny twórca często satysfakcjonować się musi tylko pogonią za potrzebą zaspokajania swym odbiorcom". (Tadeusz Fredro — „Perspektywy" nr 39).

LUBLINIANA

● W siedzibie Lubelskiego Towarzystwa Naukowego odbyła się 1 października inauguracja nowego roku pracy kulturalno-oświatowej i sezonu artystycznego 1977/78. Wojewódzkie nagrody za osiągnięcia społeczno-kulturalne otrzymali: kabaret ludowy „Rzep" z Krzczonowa, Puławska Spółdzielnia Mieszkaniowa i Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. H. Łopacińskiego, a indywidualnie prezes Okręgowego Związku Żeglarskiego Ziemowit Baranski, dyrektor Państw. Szkoły Muzycznej Zdzisław Janczuk, literatka Maria Jonefacka, działacz z Poniatowej Franciszek Kowalski, aktorka Elżbieta Swiecicka-Jaszkowska z Teatru im. Osterwy, dyrektor Osiedlowego Domu Kultury LSM Ada Wojcik, prezes Oddziału Stow. Dziennikarzy Polskich Włodzimierz Wojcikowski oraz konserwator zabytków z Kazimierza Jerzy Żurawski. Gratulujemy!

● W dniu 3 października odbyła się w Lublinie środowiskowa inauguracja roku akademickiego 1977/78 uczelni państwowych. Wzięli w niej udział m. in. członek Biura Politycznego KC PZPR, premier Piotr Jaroszewicz, kierownik Wydziału Nauki i Oświaty KC PZPR Jarema Maciszewski, ministrowie: Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki Sylwester Kaliski oraz Zdrowia i Opieki Społecznej Marian Sliwiński, I sekretarz KW PZPR w Białej Podlaskiej Ryszard Socha, Lublinie — Władysław Kruk i Zamościu — Ludwik Maznicki, sekretarze KW PZPR w Chełmie Irena Kaczmarek i w Siedlcach — Andrzej Hajkowski. W czasie inauguracji minister Kaliski odczytał akt przemianowania Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Lublinie na Politechnikę Lubelską. 82 pracowników wyższych uczelni otrzymało odznaczenia państwowe. Liczba studentów na wszelkiego rodzaju studiach przekracza 31 tysięcy.

ekran i widz

„Rebus" i inne...

U NAS już nie tylko autobusy miejskie, ale i niektóre komedie filmowe zaczynają chodzić stadami. Dopiero co oglądaliśmy na ekranie kina „Kosmos" francuską komedię Claude'a Zidi — „Diabli mnie biorą", a już mamy kolejny film tego reżysera, „Cenny depozyt". Obydwa proponują rozrywkę łatwą ,lekką i przyjemną, są zrobione z dużą znajomością rzemiosła i z kulturą, a do ich sukcesu przyczynia się przede wszystkim obecność pary sympatycznych aktorów: Pierre Richarda i Jane Birkin.

Pierre Richard, drobny, szczupły, wysportowany, z blond włosami i twarzą intelektualisty, prezentuje ten sam typ postaci, w którą wcielał się już w filmach — „Tajemniczy blondyn w czarnym bucie" i „Powrót tajemniczego blondyna": przystojnego młodego safanduły, zakochanego niezdary, który jednak w decydujących momentach potrafi okazać się całkiem męski i mądrze wyjść z niezwykłych a niebezpiecznych opresji. Filmy z Pierre Richardem charakteryzują się szybką akcją, nieprawdopodobnymi sytuacjami, błyskotliwym — choć może nie zawsze najwyższej miary — dowcipem.

Ostatnio partneruje mu urocza, pełna dziewczęcego seksu, długowłosa i długonoga Jane Birkin, osiadła na stałe w Paryżu Angielka, która swego czasu zwróciła na siebie uwagę epizodyczną rólką brytyjskiej nastolatki w „Powiększeniu" Antonioniego. Niedawno widzieliśmy ją u boku Jean Louisa Trintignanta — jednego z najzdolniejszych aktorów współczesnego kina francuskiego — w „Karierze na zlecenie". Ta aktorka potrafi doskonale zmieścić się w specyfice filmu i aktorstwa francuskiego, zachowując zarazem swoją angielską osobowość i oryginalność. W poprzednim felietonie pisałem o angielskich i francuskich animozjach znajdujących odbicie w niektórych filmach; przykład Jane Birkin jest odzwierciedleniem odwrotnej strony medalu: wzajemnej, od wieków trwającej fascynacji tych narodów życiem, kulturą, i stylem bycia sąsiadów zza Kanału La Manche — jak go nazywają Francuzi — lub też Kanału Angielskiego (English Channel) — jak uważają Brytyjczycy.

Zbigniew Buczkowski w doskonale zagranej roli Cześka w „Rebusie".

W tej paradzie francuskiego aktorstwa i francuskiego komediowego esprit, zabrakło jakoś miejsca w kinie „Kosmos" dla pełnometrażowego fabularnego debiutu jednego z najciekawszych młodych polskich dokumentalistów, Tomasza Zygadły — dla filmu „Rebus". Odbyła się wprawdzie premiera, ale w rekordowo krótkim czasie, po dwóch chyba dniach, „Rebus" został odłożony na półkę, ustępując miejsca rysunkowym, długometrażowym przygodom Bolka i Lolka, które jakże wspaniale mieściły się (kasowo!) w propagowanym haśle: „wrzesień — miesiącem filmu polskiego".

W pewnym sensie rozumiem kierownictwo kina „Kosmos" bo ma ono duże plany finansowe, które musi wykonywać, a „Rebus" jest filmem trudnym, skłaniającym do głębokiej refleksji, celowo „brzydkim" oraz całkowicie „niewesołym", a więc i niekasowym. Ale jest to przecież film sięgający do trudnych nieraz i złożonych problemów części naszego współczesnego środowiska młodych, film podejmujący problem resocjalizacji, sprawę postaw ideowych i moralnych niektórych młodych, wchodzących w życie ludzi. Od tego jest w Lublinie instytucja zajmująca się m. in. reklamą i propagandą filmową, żeby takie właśnie mało kasowe filmy propagować, zabiegać o organizowanie przez zakłady pracy zbiorowych pójść do kina, o kupowanie biletów na takie właśnie filmy.

„Rebus" to opowieść o postawach moralnych: młodego robotnika (znakomity Zbigniew Buczkowski w roli Cześka), który chce się — o własnych siłach — wyrwać z kręgu marginesu społecznego, i o studencie, uważającym się za socjologa (Marek Frąckowiak), który obserwując beznamiętnie środowisko marginesu, nie tylko nie dostrzega w nim ludzi, ale gotów poświęcić wszystko i wszystkich dla własnej kariery. Film ambitny, odważny, często grzeszący wprawdzie nieporadnościami scenariuszowymi czy naiwnościami inscenizacyjnymi (choćby np. sekwencja z wiatrem), ale w sumie rokujący reżyserowi jak najlepszą przyszłość; przy wszystkich swych mankamentach wart obejrzenia. Mam nadzieję, że w najbliższym czasie znowu zostanie wprowadzony na ekrany, choćby w „Chatce Żaka".

(md)

noty i notki

Od niedawna wśród kierowców, zarówno samochodów osobowych jak i ciężarowych, rozpowszechnił się dziwny zwyczaj: jeżdżenia w dzień przy zapalonych światłach mijania, a gdy świeci słońce, to nawet ze światłami długimi. Co to ma znaczyć, trudno powiedzieć. Prawda, że kodeks drogowy tego nie zakazuje, ale przecież przez lata przyjęło się, że z takimi światłami jeżdżą np. samochody holujące drugi pojazd, wiozące kogoś z nagłą chorobą do szpitala itp. Ponieważ rzecz się zdewaluowała, teraz nikt takim samochodom drogi nie ustępuje, co niekiedy może powodować poważne komplikacje. A wszystko przez przedobrzenie.

Kamena str. 14

Przed kilku laty Zakłady Gazownicze zainstalowały mi piecyk kąpielowy typ PGz-4. Ale przepaliła się tzw. wężownica i fachowcy orzekli, że trzeba ją wymienić, gdyż nie da się naprawić. Cóż z tego, jeżeli w obu sklepach, które w woj. lubelskim prowadzą sprzedaż piecyków i części zamiennych, wężownic w III kwartale nie było, a w IV nie wiadomo czy będą. To samo mi odpowiedziano w hurtowni w Lubartowie. Tak więc zamiast 700 zł na nową wężownicę, będę musiał wydać ponad 2300 zł na cały piecyk, wyrzucając resztę dawnego za 1500 zł, chociaż ta reszta jest w bardzo dobrym stanie. Co na to wytwórca — WSK w Świebodzicach?

Doroczne plenery plastyczne w Osiekach mają swoją sławę krajową i międzynarodową. Odbyło się ich już 15, uczestników zaś było 522, nie licząc przedstawicieli nauki i teorii sztuki, urządzających tam bardzo ciekawe dyskusje. Z niemałym więc zdziwieniem przeczytałem w artykule Wojciecha Jankowernego pt. „Kto lubi plenery?" („Tygodnik Kulturalny" nr 40), że dotychczasowi organizatorzy „do bezpośredniej organizacji pleneru zamierzają zachęcić ZG ZPAP i Departament Plastyki MKiS". Więc już wiem, kto n i e lubi plenerów.

Dziwny jest ten świat — śpiewał kiedyś Niemen. Dziś trzeba śpiewać, że ten świat jest coraz dziwniejszy. Jeżeli bowiem wierzyć „Gazecie prawniczej" (nr 19), w sądach rozpatruje się coraz więcej spraw o kury i koguty. Producenci skarżą zakłady drobiarskie, że dają im nieodpowiednie pasze, wskutek czego kury nie niosą jajek, albo koguty, które nie spełniają swoich podstawowych obowiązków, natomiast w jedzeniu przekraczają normę trzykrotnie. Za dostawę tych nie nastawionych erotycznie kogutów dla tysiąca kur zakłady drobiarskie w P. musiały zapłacić odszkodowanie w wysokości 262 tys. złotych.

Reżyser filmowy Krzysztof Zanussi jest z wykształcenia filozofem, stąd w rzadko zresztą udzielanych wywiadach mówi rzeczy bardzo mądre. Ostatnio w „Literaturze" (nr 39) wyznał: „Mam wielki szacunek dla tego wszystkiego, co w człowieku jest wynikiem kultury, co jest rezultatem jego świadomego ograniczenia, jego świadomego wyboru. Natomiast to, co w człowieku jest spontaniczne, wydaje mi się bestialskie, zwierzęce". Ponieważ trudno znaleźć człowieka, który nigdy nie czyni nic spontanicznie, wynika z tego, że wszyscy mamy bestialskie, zwierzęce skłonności czy zamiłowania.

Jako niezwykły wyskok potraktowała prasa „wyczyn" hokeistów Podhala, domagających się wysokich wynagrodzeń za udział w grze. Mnie się coś wydaje, że to nie był wyskok, ale rezultat sytuacji jakich więcej. Dowód, że zaczyna się od spraw małych? Dolnośląski kolarz Juliusz Firkowski zgłosił swój udział w IV Międzynarodowym Memoriale im. Mariana Wawrzyckiego w Lublinie, ale pojechał na wyścig do Siedlec, bo — jak ujawnił „Sztandar Ludu" (nr 224) — tam „organizatorzy zapewnili... lepsze nagrody". Obie sprawy leżą na tej samej płaszczyźnie moralnej.

Broszura doc. dr J. Kozieleckiego pt. „O godności człowieka" spotkała się na ogół z dość przychylną oceną w kilku czasopismach z wyjątkiem „Nadodrza" (nr 20). Zjechał tam autora ostro Jan Kurowiecki. A dlaczego? Pisze sam we wstępie: „Doc. dr J. Kozieleckiemu wiedzie się nieźle. Pisze prawie tak dużo jak ja, jednak (w przeciwieństwie do mnie), prasę ma dobrą, czego mu, rzecz jasna zazdroszczę. Z zazdrości więc powstał ten felieton". Kończy zaś Kurowiecki tak: „Ja zaś swą zazdrość wyładowałem, felieton więc kończę". Można i tak, tylko czy tego rodzaju wyznania dają się zaliczyć do tego, co nazywamy fair play?

IOD

POŻEGNANIE BEL CANTA

PRZEZ całe życie miała wszystkiego albo za dużo, albo zbyt mało — napisał krytyk muzyczny włoskiej gazety „La Stampa" tuż po śmierci Marii Callas. Dzieje światowych primadonn liczą ponad 350 lat. Była wśród nich jedną z największych.

Świat lubi podglądać gwiazdy, nawet w ich tragicznym spadaniu. O Marii Callas głośno było za życia w kronikach aktualności, które zastępowały jej w wielu przypadkach reklamę. Umierała samotnie, po czteroletnim milczeniu, pełnym zmagań z afonią, nerwami, niełaską publiczności, własnym charakterem.

Maria Anna Sofia Cecilia Calogeropoulos, córka greckiego aptekarza, urodziła się w grudniu 1923 r. w nowojorskiej dzielnicy Brooklyn. Niezgrabna, krótkowzroczna, nie potrafiła się swobodnie poruszać po scenie, co nie ułatwiało artystycznego startu, mimo wielkiego głosu. Kształciła się muzycznie w Atenach. Greckie pochodzenie, a także wulkaniczny temperament zyskały jej wkrótce przydomek „Callas Atena".

Mając 24 lata wystąpiła przed 30-tysięczną publicznością w Weronie. Jej silny, giętki głos słychać było w odległości 500 metrów bez mikrofonu. Wśród słuchaczy werońskiego występu Marii znalazł się bogaty właściciel cegielni „signior Titta", zwariowany na punkcie muzyki, Battista Meneghini. Był jej pierwszym impresariem i małżonkiem.

W 1950 r. — pierwszy występ w mediolańskiej „Scali" i pierwsze triumfy. Uznano młodą Greczynkę za „najlepszą śpiewającą aktorkę w historii współczesnego teatru". Odtąd Maria Callas stale znajdowała się na ustach świata.

Dyrekcja „La Scali" robiła wiele trudności z powierzaniem Marii niektórych ról, trudno przecież wyobrazić sobie zwiewną Traviatę o wadze ponad 100 kg! Callas poddała się intensywnej kuracji odchudzającej, straciła blisko 40 kg. Odtąd zaczęły się jej kłopoty z nerwami. Trzymała nieustannie w napięciu kolegów, dyrygentów, publiczność.

Zasięg głosu: trzy oktawy. W repertuarze najwspanialsze partie światowego repertuaru, od najdawniejszych poczynając. Wśród nich ukochana „Medea" Cherubiniego, przerażająca opera grozy.

Przez kilkanaście lat Maria Callas była „assoluta". Jej występy gromadziły tysiące melomanów, czarowała głosem i techniką aktorską. Odrzucając wszelkie prawdziwe i fabrykowane opowieści o jej kaprysach, stwierdzić wypada, że z jej odejściem zakończyła się epoka gwiazd operowych. Prasa całego świata pisze dziś o Marii Callas jako o ostatniej już, tak wybitnej, przedstawicielce bel canta.

Callas zaćmiła sławę współczesnych sobie wielkości: Friedy Hempel, Erny Berger, Marii Ivogün, Brigit Nilsson, Kristen Flagstad, Astrid Varnay, Luby Velickovej, zwyciężyła lękliwą i łagodną Renate Tebaldi i zawsze uśmiechniętą Victorię de Los Angeles. Ale utraciła sympatię publiczności z przyczyn pozaartystycznych. Teraz wielu krytyków pisze, że być może wszystkie „wyskoki" artystyki były spowodowane jej niemocą głosową, pogłębiającą się afonią.

Umiała wszakże i ciężko pracować. Nad rolami koncentrowała się z uporem i zapamiętaniem, domagała się perfekcji od współpartnerów, oczywiście, pod warunkiem, że nie zechcą przytłumić jej świetność.

Mając 45 lat Maria Callas powróciła do dawnej ateńskiej nauczycielki Elwiry de Hidalgo, podjęła znowu szkolenie operowe, poświęciła się przede wszystkim Traviacie. Rola w filmie Pier Paolo Pasoliniego „Medea" miała być uwertura do jej operowego powrotu. Ostatni występ Marii Callas, zresztą bez większego echa, odbył się w 1973 r. Potem nastąpiła cisza.

Nazajutrz po śmierci Callas wszystkie rozgłośnie świata, choć nie umówione, nadawały po kilka razy dziennie partię Butterflay w jej wykonaniu. Pozostał głos: wielki, nośny, czysty, kryształowy.

Szyfrogram (nr 21)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — zdanie z książki współczesnego pisarza polskiego, którego imię i nazwisko utworzą pierwsze litery 15 początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między słowami.

Wyrazy pomocnicze

88. 83. 105. 32 — najniższa część statku.
68. 14. 107. 92. 76. 113 — smyk, malec.
4. 29. 13. 21. 64. 27. 62. 77 — cesarstwo, państwo rzymskie.
9. 112. 47. 30. 25. 80 — słój — butelka na soki lub wino.
22. 34. 28. 44. 121. 90. 53. 74. 115. 61. 37 — brak sprawności działania, nieudolność.
12. 29. 71. 85. 119. 20 — natręt, nieproszony gość.
8. 38. 94. 42. 75 — państwo arabskie.
33. 114. 96. 99. 26 — parów, jar.
5. 89. 40. 66. 100. 58 — miasto pod Łodzią z fabryką barwników.
6. 63. 43. 3. 56. 110 — bóg słońca i opiekun sztuk.
69. 16. 45. 10 — przepływa przez Olsztyn.
18. 104. 55. 123. 17 — biuro administracji państwowej.
1. 65. 84. 50. 81. 98 — agent wywiadu.
93. 116. 67. 87. 54. 109. 60 — stołek z oparciem.
23. 118. 7. 52. 122. 78. 95 — listowie drzew szpilkowych.
2. 36. 120 — wyrasta z dziąsła.
108. 117. 19. 15. 35. 102 — dumna lub bardzo smaczna.
49. 106. 72. 111. 46 — ziemia nadana wasalowi przez seniora.
103. 48. 51. 101 — miasto w woj. suwalskim.
11. 57. 88. 70. 31 — roztwór mydła potasowego używany do odkażania.
59. 41. 24. 97. 73. 79. 82. 91 — ufność, że coś się urzeczywistni.

1	2	3	4	■	5	6	7	8	9	10	11	12
■	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	■
24	25	■	26	27	28	29	30	■	31	32	33	34
35	36	■	37	38	39	40	41	■	42	43	44	45
46	47	48	49	50	■	51	52	53	■	54	55	56
57	■	58	59	60	61	62	■	63	64	65	66	67
■	68	69	70	71	72	73	74	75	76	■	77	78
79	80	81	82	83	■	84	85	86	87	88	■	89
90	91	92	93	94	95	■	96	97	98	99	100	101
102	■	103	104	105	106	107	■	108	109	110	111	112
113	114	■	115	116	117	118	119	120	121	122	123	■

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-961 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 19 był fragment „Września" Jerzego Putramenta: „Stawiali jeden po drugim, żołnierze i robotnicy. Czasu nie było na myślenie, rozważanie. Oficerek zgarnął kilkunastu najbliższych, pchnął przez topolę z powrotem".

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu nr 19 bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali: Lila Gurba 20-029 Lublin Skłodowskiej 58/2, Zofia Król 20-375 Lublin Dalewy 9/9, Stefan Mendel 20-468 Lublin Kruczkowskiego 9/44, Tadeusz Łukaszyński 81-833 Sopot Kaszubska 30.

listy do kamery

PUBLICZKA

Dnia 17 września poszedłem do kina „Staromiejskiego" w Lublinie na film pt. „Dancing w kwaterze Hitlera". Jest to film dozwolony od lat 18, może nie z racji zdjęć o tematyce erotycznej, lecz chyba ze względu na powagę tematu i co najważniejsze — jego sens. Tymczasem na widowni permanentnie słyszy się komentarze do poszczególnych scen, oczywiście ze strony niedorosłych chłystków, siedzących zazwyczaj w pierwszych rzędach widowni. Czując sentyment do kina na Starym Mieście, śmiem zaproponować kierownictwu tej placówki kontrolowanie przy wejściu dowodów tożsamości niektórych osobników. Dodam jeszcze, że na widok powtarzających się scen filmu część widowni tupała, gwizdała i krzyczała „ej, facet!" — zapewne pod adresem pracownika obsługującego aparaturę za ścianą. Ponadto podczas projekcji niektórzy „widzowie" palą papierosy. Jest to zresztą „normalka" nie tylko w tym kinie lubelskim.

Andrzej Jeżewski
Lublin

Od redakcji: Sprawa rzeczywiście wymaga zdecydowanej interwencji. Poza tym list Pana wprawił nas w smutne zakłopotanie gdyż kino „Staromiejskie" posiada niezły program i takież tradycje, jako że było jednym z pierwszych w Lublinie kin studyjnych, oferujących rzetelną wiedzę o sztuce filmowej.

„CZY WIT STWOSZ RZEŹBIŁ TAKŻE GÓRY?"

Adam Chowański zadaje pytanie: „Czy Wit Stwosz rzeźbił także góry?" („Kamena" nr 19 z br.). Popatrzyłem na tę część ołtarza która nad sceną w stajence betlejemskiej przedstawia także stromą, wysoką górę; sięgnąłem do historii, mapy Węgier oraz zasad logicznego myślenia i... próbuję odpowiedzieć.

Kolorowe zdjęcie góry (a nie gór) widzę na pierwszej stronie tygodnika „Za i przeciw" (nr 52—53, Boże Narodzenie 1967). Góra ma kształt stożka ściętego na podstawie elipsowatej. Szczyt ma dwie platformy w różnych poziomach (tarasy); lewy stok bardzo stromy, prawy pod kątem 45 stop.; całe widoczne zbocze poszarpane. Na niższym tarasie widać wieżę obronną (basztę) cylindryczną. Na węższej platformie, czyli na szczycie góry, widać mury i smukłą wieżę gotycką, lub coś jak minaret. Na prawym stoku, częściowo zasłonięta, potężna baszta z galeryjką obserwacyjną. Jeszcze niżej jakaś szopa drewniana, bez komina, kryta gontami, otoczona płotem z trzech żerdzi poziomych w siedmiu przęsłach, ale tylko półkolem. W środku tego półkola stoi słup, a na jego szczycie umocowano pochyło gruby drąg, rzucający cień. Zrazu wygląda to na studnię z żurawiem, znaną dobrze w Polsce i w puszcie węgierskiej (np. koło Hortobagu), ale może to być jakiś kierat lub... zegar słoneczny. „Koszar" dla owiec bułby ogrodzony naokoło. Niżej w lewo — mężczyzna ubrany nie po polsku i nie po pasterska, chociaż w pobliżu pasą się trzy wełniste owce razy „nijakiej". Na przedzie widać coś, co przypomina grupkę ludzi, zasłoniętą częściowo wysokim krzakiem.

Taką górę widziałem w 1969 r. w Visegrad koło Esztergom w kolanie Dunaju (Węgry).

Na odwrotnej stronie mapy Węgier (PPWK 1968) czytam: „Ruiny zamku Visegrad. Miasteczko o tej samej nazwie miało duże znaczenie w XIV i XV w. i było rezydencją króla Matyasa... zrekonstruowano szczątki dawnego pałacu królewskiego. Zachowała się też... studnia z czerwonego marmuru (podkr. aut.), cenny zabytek sztuki. Na uwagę zasługuje stojąca u stóp góry zamkowej pięciopiętrowa „wieża Salomona". (Ona jest na stoku, a nie u stóp. Salomon to król węgierski od 1067 do 1074 r., a Matyas to Maciej Korwin, młodszy syn sławnego Jana Hunyadyego. Uwaga aut.)

Gdy Wita Stwosza sprowadzono do Krakowa w 1477 r., to znał on już chyba wartość czerwonego marmuru węgierskiego i ten materiał kazał sobie sprowadzić, odmiedzy rokiem 1492 a 1495 rzeźbił nagrobek króla Kazimierza Jagiellończyka. Może i studnię w Wyszegradzie zdobił Wit Stwosz? (Niemiecką pisownię Stwosz wymawia się Sztos, nie Stwosz).

Ale nie sentyment do Wyszegradu skłonił mistrza do wykonania tej góry. Myślę, że uczynił to na rozkaz samej Elżbiety Habsburżanki (Rakuszanki). Mimo zawarcia pokoju — rozejmu w Ołomuńcu w 1479 r. król Maciej Korwin pozostał królem na Węgrzech, na Morawach, na Śląsku i Łużycach, natomiast syn Kazimierza Jagiellończyka i Elżbiety — Władysław — siedel (od 1471 r.) był tylko królem Czech. Królową nie mogła tego przełknąć, albowiem jej ojciec — król i cesarz Albrecht V — był zarazem królem Czech i Węgier. Prawa te przeszły na Elżbietę, gdyż jej młodszy brat, Władysław Pogrobowiec, zmarł bezpotomnie już w 1457 r. czyli trzy lata po ślubie Elżbiety z królem Polski (19 lutego 1454). Kazimierz Jagiellończyk popierał żonę i synów całym sercem i siłą dla „odzyskania" Węgier (czekali do 1490 r.). Dlatego zanoszono modły do „Marii i Dzieciątka Jezus" w stołecznym kościele, aby teściły Węgry, uzymbolizowanym powszechnie Wyszegrodem.

Jan Walichnowski
Kraków

P.S. W zamieszczonym w tym samym numerze komiksowym pamiętniku Casanovy znalazłem — w „monologu" bohatera — słowo „Kroatki". Informuję zatem, że jest to słowo wzięte z niemieckiego (kroatien), które w naszym języku brzmi po prostu „Chorwatki".

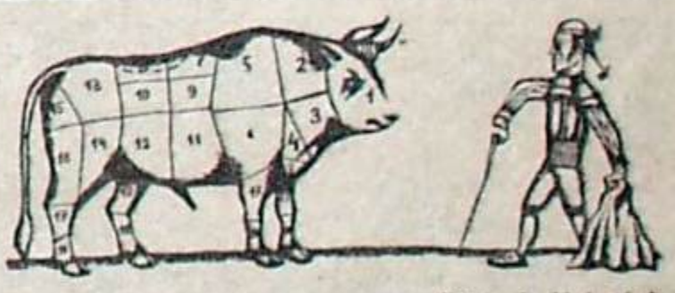

Rys. J. Urbański

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:
— do 25 listopada na styczeń i kwartał i półrocze roku następnego i na cały rok następny,
— do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.
Cena prenumeraty rocznej — 78.—
Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH".
Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa konto PKO nr 1531-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.
Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 2394. J-4.

Numer łamał Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Wacława Kopcia

Nr indeksu 36251

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

czas. 2552/1977/21

WARSZAWSKI BRUK

Anioły i zjadacze chleba

Michał Oruckł

TO, co określamy mianem tzw. ethosu intelektualisty, nie jest aż tak bardzo niezależne od czasu i okoliczności historycznych. Inny był ethos intelektualisty w Polsce w epoce Oświecenia, inny w okresie romantyzmu, jeszcze inny w czasie pozytywizmu, inny zapewne jest dziś. Zaznacza się przy tym ciekawe zjawisko polegające na tym, że świadomość intelektualisty, przyswajając sobie nader szybko nowe prądy i idee, jednocześnie nigdy nie żegna się na dobre z tymi starymi, lecz przeprowadza wśród nich swoistą selekcję i wybiera to, co podług jej własnej oceny jest dla niej korzystne. Romantyczna koncepcja rządu dusz umysłów sprawnych i wykwitnych nad prostaczkami i zwykłymi śmiertelnikami jest, jak się zdaje, owym skarykaturalizowanym echem romantyzmu, które tu i ówdzie rozlega się również w naszych czasach, aczkolwiek żyjemy już w dość gruntownie odmienionej epoce.

Romantyczne poczucie mocy wynikające z żarliwości serca, zmienia się w pychę. Romantyczna pewność siebie, ugruntowana na silnych emocjach, przekształca się w arbitralność i aprioryzm. Romantyczny bunt w gest odmowy. Romantyczna ambicja w dość trywialną pretensję. Wydałoby się, że świat uległ tak potężnej demokratyzacji, że zbyteczni są dlań książęta ducha. I owszem — uległ. Tu i ówdzie jednak książęta ducha pozostali, jak owi arystokraci, którzy utraciwszy swoje włości i tytuły rodowe, w dalszym ciągu, choć już tylko łudząc się, uważają, że są nadal solą tej ziemi. Trzydzieści jeden lat temu w głośnej pracy pt.: „Społeczna genealogia inteligencji polskiej", znany socjolog prof. dr Józef Chałasiński postawił tezę o szlacheckim rodowodzie tej warstwy, dziś nie tyle zdewaluowaną, co poważnie nadszarpniętą — zgodnie zresztą z intencjami tego, który ją wyraził — przez czas i procesy społeczne, jakie zaszły u nas w latach 1944—1977.

Do prawnuków i wnuków dawnych rezydentów, jak ich określił prof. dr J. Chałasiński, dworku szlacheckiego, doszlusowali w tych latach na dobre synowie i wnukowie, nie tyle rezydentów, co gospodarzy i najemców chłopskich chałup i robotniczych mieszkań. Wraz ze sobą wnieśli do ogólnonarodowej kultury nowy, jakże cenny ton, obecnie zresztą dominujący, choć czasami wciąż jeszcze zbyt nieśmiały i jakby naznaczony rumieńcem pewnego zażenowania. Cham, parafrazując tytuł powieści Leona Kruczkowskiego, stanął obok Kordiana i rozstrzygnął wiele spośród jego dylematów. Trudno wymagać, żeby dla Kordiana ta nowa sytuacja nie stała się potężnym wstrząsem duchowym. Nie zawsze potrafił opanować ten wstrząs tak dobrze jak monstrualny wprost szlachciura amerykański William Faulkner, zarazem świetny piewca plebejskiego bytowania we wszystkich odmianach, w jakich ujawniło się ono na amerykańskim Południu.

O ile prowincjonalne centra kulturalne w Polsce dość szybko zostały opanowane właśnie przez plebejuszy, tak osobliwością bruku warszawskiego jest to, że romantyczno-szlachecka gestykulacja wciąż ma na nim swoje znaczenie. Aura stołeczności działa na wielu onieśmielająco, a w takich warunkach ludzie bywają skłonni raczej stosować się do mody niż rzeczywistości. Ludzie rzeczywiście wielkiego formatu, których tu rzecz jasna nie brakuje, sami sobie wydają się nieco więksi niż są w istocie, zaś ci, którym natura poskąpiła talentów, a okoliczności przenikliwej wiedzy, wierzą w zbawczą moc drugo- i trzeciorzędnych gestów i obficie nimi szafują. O tyle jest to skuteczne, że w żadnym innym mieście w Polsce nie można tyle zyskać na gestach, jak właśnie w Warszawie.

Stolica wytworzyła pewien rodzaj ceremonialności towarzyskiej, w obrębie której zgoła pobożne życzenia mieszają się z cynizmem i odwrotnie. Żąda ona od swoich nuworyszy znacznej dawki konformizmu, niezwykle zręcznie interpretowanej jako bunt i bezkompromisowość. Wartość pracy kulturalnej, twórczości, aktywności liczą się — i owszem — na warszawskim bruku, ale zawsze w związku ze stosowną postawą. Niezbyt dobrze czują się tu ci wszyscy, którzy nie umieją lub nie chcą jej przyjąć. Wszystko, co tu piszę, nie dotyczy oczywiście Warszawy pracy. Ta różni się od tej kulturalnej, bo wchłania szybko, ekspansywnie i bezboleśnie wszystkie możliwe żywioły.

Nie można powiedzieć, że świat warszawskiej elity intelektualnej nie jest empatyczny, wyzuty całkowicie z elementów życzliwości, sympatii, oddania. Jeśli już coś jest jego przywarą to fakt, że jest to empatia o dość ograniczonym zasięgu, raczej towarzyskim niż społecznym i wcale nie taka bezinteresowna. W krąg jej oddziaływania może bowiem być włączony tylko ten, kto zaaprobuje szereg określonych dość ściśle norm i wylegitymuje się kilkoma jeśli już nie osiągnięciami, lecz właśnie gestami. Każdy, kto postąpi inaczej, uważany jest po prostu za kogoś, kto nie potrafi się przyzwoicie zachować. Życiem kulturalnym zaczynają więc niekiedy rządzić zawsze dlań groźne normy towarzyskie. Znam masę przypadków, kiedy to właśnie na gruncie towarzyskim potrafią się w Warszawie łączyć i jednoczyć osobowości zgoła ze sobą sprzeczne.

Ten oto świat czy światek, broniąc jedynie utrwalonego w swoim obrębie konwenansu, często wyobraża sobie, że podejmuje się tą drogą trudu obrony wartości. Postawa towarzyska w świadomości niektórych warszawskich nosicieli urasta do rangi podstawowego narzędzia kulturalnego. A na dodatek niewiele jest czynników, które byłyby w stanie zetrzeć z powierzchni ziemi tę sprowadzającą się do klinicznego wręcz uproszczenia iluzję. Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy jest m. in. to, że tak bardzo kochamy i cenimy Warszawę, iż w nader nikłym stopniu zwracamy uwagę na jej przywary, choćby były one jedynie wadami garstki.

Obiektywna sytuacja jest oczywiście inna. Ma ona jednak tę wadę czy zaletę, że można na nią przymknąć oczy i w ogóle nie zwracać na nią uwagi. Można tak zmistyfikować swoją własną egzystencję, że prawie w ogóle nie dotrze doń żaden autentyczny rytm dzisiejszego życia. Zwłaszcza, gdy żyje się na warszawskim bruku, gdzie dla niektórych osią świata jest gruba i skądinąnd sympatyczna krecha Krakowskiego Przedmieścia.

Rys. Jacek Urbański

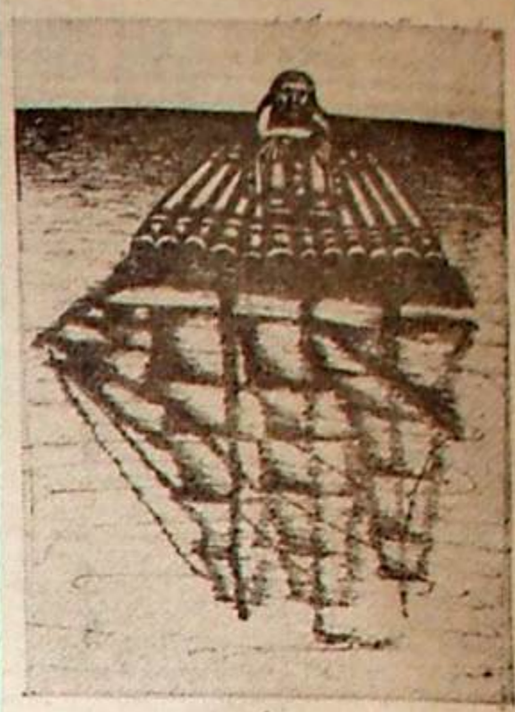

Casanova. Pamiętniki

rys Krystyna Wójcik

4